Ile naprawdę kosztuje wojna? Stiglitz obnaża iluzje

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł dekonstruuje ekonomiczne iluzje towarzyszące współczesnym konfliktom zbrojnym przez pryzmat teorii Josepha Stiglitza. Autor wyjaśnia, jak mechanizmy takie jak księgowość zaciemniająca i problem agencji pozwalają rządom ukrywać gigantyczne wydatki przed opinią publiczną. Tekst analizuje konkretne przypadki: amerykańskie zarządzanie percepcją w cieśninie Ormuz, izraelską retorykę egzystencjalną maskującą wzrost wydatków do 8% PKB oraz irańską strategię ekonomii bólu rozproszonego. Całość ukazuje wojnę nie jako starcie idei, lecz jako skomplikowany proces księgowy, w którym ostateczny rachunek w postaci inflacji i długu publicznego zawsze spada na nieświadome społeczeństwo.

This article deconstructs the economic illusions that accompany contemporary armed conflicts through the lens of Joseph Stiglitz's theory. The author explains how mechanisms such as obfuscation accounting and the agency problem allow governments to conceal enormous expenditures from the public. The text analyzes specific cases: American perception management in the Strait of Hormuz, Israeli existential rhetoric masking a spending increase to 8% of GDP, and Iran's strategy of diffused pain economics. The overall picture reveals war not as a clash of ideas but as a complex accounting process in which the ultimate burden of inflation and national debt always falls on an unwitting public.

Współczesne konflikty zbrojne przestały być wyłącznie domeną strategii militarnej, stając się wyrafinowanymi narzędziami księgowości zaciemniającej. Joseph Stiglitz, demaskując mechanizmy ukrywania realnych kosztów wojny, dowodzi, że politycy traktują konflikty jako operacje finansowane długiem, co pozwala im sprzedawać społeczeństwu iluzję „darmowej wojny". Zamiast bezpośrednich podatków, państwa wybierają odroczoną płatność, która kolonizuje przyszłe budżety i wypiera inwestycje w

edukację czy infrastrukturę. Ta strategia, oparta na asymetrycznym kontrakcie, mobilizuje obywateli do poświęceń, ale przenosi ciężar długofalowych kosztów – od inflacji po opiekę nad weteranami – na kolejne pokolenia. Analiza ta wykracza poza suche dane finansowe, ukazując wojnę jako proces destrukcji kapitału normatywnego i społecznego. Zrozumienie tego mechanizmu jest kluczowe, gdyż współczesna władza używa retoryki honoru i bezpieczeństwa, by ukryć twardą matematykę strat netto. W efekcie wojna przestaje być epizodem, a staje się subskrypcją cierpienia bez opcji anulowania, gdzie każda wystrzelona rakieta jest złotówką zabraną z przyszłości narodu, a prawdziwy rachunek wystawiają nie generałowie, lecz historia.

SŁOWA KLUCZOWE

koszt utopiony | problem agencji | księgowość zaciemniająca | złudzenie darmowej wojny | asymetria informacji | ekonomia bólu rozproszonego | koszt alternatywny | wydatki obronne PKB | inflacja wojenna | dług publiczny | kapitał normatywny | zarządzanie percepcją | minimalizm strat wtórnych | koszty zewnętrzne | pay later suffer longer

Wojenne narracje jako narzędzia do ukrywania realnych kosztów

Joseph Stiglitz, gdyby przyszło mu analizować dzisiejsze nagłówki, patrzyłby na nie jak na wyrafinowane maszyny do ukrywania rachunku końcowego przed opinią publiczną. W jego aparacie poznawczym wojna nie jest starciem idei, lecz gigantycznym przedsięwzięciem księgowym, w którym najważniejszą kategorią staje się złudzenie darmowej wojny, czyli praktyka przekonywania obywateli, że konflikt nie wymaga od nich bezpośrednich wyrzeczeń. Noblista nie pytałby o to, kto wygra bitwę o narrację, lecz o to, kto, komu i w jakiej walucie wystawi ostateczną fakturę za ten geopolityczny spektakl. Kluczowe stają się tu mechanizmy takie jak koszt utopiony, problem agencji oraz księgowość zaciemniająca, służąca do systemowego zawężania raportowanych wydatków i przesuwania strat między różnymi bilansami państwowymi. Mówiąc kolokwialnie: politycy sprzedają nam efektowny zwiastun, podczas gdy społeczeństwo nieświadomie otrzymuje subskrypcję bez opcji anulowania.

Amerykański komunikat dotyczący cieśniny Ormuz to podręcznikowy przykład zarządzania percepcją poprzez narrację o przywracaniu porządku i bezpieczeństwa. Donald Trump, stawiając Iranowi ultimatum, nie mówi o eskalacji, lecz o wymuszaniu drożności systemu, co Reuters opisuje jako twardą presję obliczoną na odblokowanie kluczowych szlaków handlowych. W optyce Stiglitza jest to klasyczne przesunięcie uwagi z realnych kosztów operacji militarnej na abstrakcyjny koszt chaosu, który rzekomo zagraża globalnej stabilności. Waszyngton sugeruje, że to Teheran ma ponieść cenę eskalacji, ale w rzeczywistości komunikuje rynkom, iż USA jedynie pilnują rachunku za ropę, by uniknąć paniki. Biały Dom przekonuje, że nie wywołuje dramatu, lecz jedynie gasi pożar, choć krytycy zauważają, że wcześniej sam wszedł do pokoju z kanistrem benzyny. Tu objawia się problem agencji, gdzie decydenci opowiadają o prestiżu i wiarygodności, podczas gdy pełny rachunek spada na podatnika, kierowcę i budżety przyszłych lat. To jest polityczne mistrzostwo w ukrywaniu kosztów: elity operują językiem historycznych operacji, a społeczeństwo płaci brutalnym językiem cen na stacjach benzynowych.

Izraelska narracja ucieka w rejestry egzystencjalne, co pozwala na uruchomienie mechanizmu, który można nazwać tarczą absolutyzacji. Kiedy władze w Tel Awiwie, cytowane przez Reutersa, mówią o usuwaniu zagrożeń dla przetrwania narodu, automatycznie wypychają z debaty publicznej pytania o proporcjonalność wydatków i horyzont czasowy operacji. W logice Stiglitza takie postawienie sprawy nie unieważnia rachunku, a jedynie drastycznie podnosi polityczną cenę zadawania pytań o to, ile ta tarcza faktycznie kosztuje. Kolokwialnie rzecz ujmując: kiedy rząd wrzuca kartę „to jest dosłownie kwestia przetrwania", każdy, kto pyta o cenę, ma wyglądać jak ktoś pozbawiony serca i patriotyzmu. Tymczasem pojawia się tu stiglitzowski mit armat i masła, czyli złudne przekonanie, że można finansować gigantyczne zbrojenia bez bolesnych cięć w innych sektorach państwa. MFW ocenił, że wydatki obronne Izraela wzrosną do około 8 procent PKB w 2025 roku, co stanowi niemal dwukrotny wzrost względem okresu przed konfliktem. Slogan egzystencjalny może być politycznie skuteczny w krótkim terminie, ale budżet państwa zapamiętuje twarde liczby znacznie lepiej niż najbardziej płomienne i emocjonalne przemówienia.

Iran z kolei operuje językiem oporu i godności, budując przekaz wokół kategorii, którą można nazwać symetrią bólu jako walutą negocjacji. Teheran nie próbuje przekonać świata, że dysponuje siłą militarną zdolną rzucić USA na kolana w sensie absolutnym, lecz dąży do wykazania, że potrafi podnieść koszt wojny do poziomu nieakceptowalnego. Reuters przytaczał ostrzeżenia, że region stanie się piekłem, a irańskie uderzenia obejmą infrastrukturę energetyczną w całej Zatoce, co jest jasnym sygnałem dla globalnych rynków. Jest to klasyczny przykład ekonomii bólu rozproszonego, gdzie rakieta zostaje celowo zamieniona w inflację uderzającą w portfele sojuszników Zachodu. Iran wie, że nie musi wygrać symetrycznie; wystarczy, że utrzyma presję na Ormuzie, przez który przepływa do 15 milionów baryłek ropy dziennie. Kiedy ceny surowca zbliżają się do 120 dolarów,

narracja „nie prosimy o litość” zamienia się w twardy mechanizm wymuszania ustępstw poprzez destabilizację cen energii.

Pekin w tej układance przyjmuje rolę chłodnego administratora, który odrzuca wojenny romantyzm na rzecz stabilności szlaków handlowych i przewidywalności dostaw. Chińska dyplomacja, reprezentowana przez Wanga Yi, wzywa do natychmiastowego zawieszenia broni, argumentując, że gospodarka światowa nie znosi artleryjskich uniesień i blokad morskich. W aparacie Stiglitza Chiny wcielają kategorię rachunku systemowego, pytając nie o moralną słuszność stron, lecz o to, kto destabilizuje mechanizm globalnej wymiany. Pekin patrzy na tę wojnę jak administrator serwera na graczy, którzy w środku sezonu postanowili wysadzić router, powodując opóźnienia w życiu wszystkich pozostałych użytkowników. Dla Chin suwerenność i prawo międzynarodowe są istotne o tyle, o ile gwarantują, że towary będą docierać do portów bez zbędnych opóźnień i dodatkowych kosztów ubezpieczenia. To podejście pozbawione jest złudzeń, skupia się na ochronie kapitału normatywnego, czyli zasobu zaufania do mocarstwa jako lidera przestrzegającego reguł gry.

Rosyjski komunikat, choć podszyty oportunizmem, również odwołuje się do języka deeskalacji, domagając się zawieszenia broni w celu ewakuacji personelu z irańskich obiektów jądrowych. Po stiglitzowsku to podręcznikowy przykład minimalizmu strat wtórnych, gdzie gracz stara się ograniczyć szkody uboczne w sytuacji, gdy główni aktorzy weszli już w logikę niekontrolowanej eskalacji. Z kolei Unia Europejska mówi głosem najbardziej uczciwym, bo nie udaje, że ma realny wpływ na trajektorię rakiet, skupiając się na tym, że to ona zapłaci za olej napędowy. Reuters relacjonował, że Komisja Europejska już szykuje środki osłonowe wobec wzrostu cen gazu, który od początku konfliktu skoczył o ponad 70 procent. To jest czysty Stiglitz: wojna jako rozproszony podatek nałożony na niewalczących, gdzie geopolityka nie pyta, kto głosował za konfliktem, lecz po prostu dowozi koszty energii i transportu. Europa czuje się w tej historii jak współlokator, który nie brał udziału w kłótni, ale i tak musi sfinansować naprawę rozbitego okna i pogodzić się z drastyczną podwyżką czynszu.

Państwa Zatoki wysyłają komunikat brutalnie konkretny, wskazując, że samo zakończenie wojny nie wystarczy, jeśli ich infrastruktura petrochemiczna pozostanie celem dla dronów. W aparacie Stiglitza to jest koszt zewnętrzny w czystej postaci, gdzie rakiety najwyraźniej znają adresy tych, którzy wcale nie prosili o udział w tej awanturze. Wojna nie jest darmową rozrywką; ona jest płatna później, z dłuższym cierpieniem, a narracje geopolityczne służą jedynie temu, by moment płatności odsunąć w czasie lub przerzucić na kogoś innego. Kto liczy tylko wystrzelone pociski, ten nie rozumie natury współczesnego konfliktu, który toczy się przede wszystkim na bilansach i w arkuszach kalkulacyjnych. Wojna z długu jest dla elit kusząca nie dlatego, że jest ekonomicznie rozsądna, lecz dlatego, że jest politycznie znieczulająca, pozwalając ukryć prawdziwą cenę za fasadą

patriotycznych haseł. Ostatecznie każda wielka opowieść o honorze kończy się tam, gdzie zaczyna się twarda matematyka kosztów alternatywnych, uświadamiająca nam, że prawdziwym kosztem armat jest brak nowych szkół i innowacji.

Wojna jako kredyt: dlaczego płacimy za nią dopiero po latach?

Wojna toczona przez trzech głównych protagonistów na globalnej szachownicy nieuchronnie rozlewa się na tych, którzy nie brali udziału w pisaniu scenariusza, lecz zostali obsadzeni w roli scenografii zniszczeń. Państwa Zatoki Perskiej przypominają w tym układzie sąsiada z mieszkania obok, do którego przez nieszczelne ściany wpadają odłamki z cudzej, wyjątkowo głośnej bójki. Aby zrozumieć dynamikę tego konfliktu, należy najpierw zdekodować najważniejsze slogany padające na linii Izrael–Iran–USA, gdyż ich prawdziwy sens rzadko pokrywa się z oficjalną narracją dyplomatyczną. W tym teatrze działań każde hasło posiada swoją warstwę polityczną, ekonomiczną, a nawet – co pozwala lepiej zrozumieć emocje młodszego pokolenia – gamingową. Dopiero takie trójwymiarowe spojrzenie pozwala dostrzec, że pod płaszczem strategii wojskowej kryje się brutalna buchalteria strat, których nikt nie chce wpisać do bieżącego budżetu.

Kiedy politycy mówią o „przywracaniu odstraszania", w sferze dyplomatycznej deklarują chęć pokazania, że potrafią uderzyć mocniej niż przeciwnik. Perspektywa stiglitzowska, skupiona na mechanizmach rynkowych, widzi tu jednak świadome podnoszenie stawki w nadziei, że to oponent pierwszy uzna rachunek za niemożliwy do uniesienia. Po młodzieżowemu można by rzec: „robię all in, bo liczę, że ty pierwszy mrugniesz i spasujesz". Podobnie rzecz ma się z „usuwaniem zagrożenia egzystencjalnego", co politycznie służy zepchnięciu wszystkich innych pytań na dalszy plan. Ekonomicznie jest to po prostu opakowanie gigantycznych kosztów w język absolutnej konieczności, co w świecie gier stanowiłoby kartę immunitetu na wszelkie niewygodne pytania o zasoby.

Hasło „nie klękniemy przed presją" odwołuje się do honoru i suwerenności, lecz w ujęciu ekonomicznym oznacza próbę wygrania konfliktu poprzez maksymalne podniesienie kosztów materialnych ponoszonych przez drugą stronę. To klasyczna sytuacja, w której gracz, wiedząc, że nie może wygrać mapy, robi wszystko, aby doprowadzić przeciwników do zbiorowego „rage quitu" poprzez czystą frustrację i straty. Z kolei „natychmiastowy rozejm", choć brzmi jak postulat stabilizacji i poszanowania prawa międzynarodowego, jest w istocie głosem kogoś, kto przestał liczyć wystrzelone rakiety. Zamiast tego zaczął analizować systemowe skutki dla cen transportu

oraz globalnej podaży energii, próbując wyłączyć „tryb chaosu", zanim gospodarczy interfejs całego regionu ulegnie ostatecznemu załamaniu.

Ochrona dostaw energii, deklarowana jako fundament bezpieczeństwa ekonomicznego, w rzeczywistości sygnalizuje moment, w którym konflikt militarny przepoczwarza się w maszynę do produkcji inflacji. Wtórne zaburzenia gospodarcze, czyli pośrednie skutki wojny objawiające się wzrostem cen i wypieraniem inwestycji prywatnych, sprawiają, że dla przeciętnego obywatela nie jest to już tylko odległy front. Staje się on prawdziwym „boss fightem" z rachunkami za paliwo i rosnącymi cenami w osiedlowym sklepie, których nie da się łatwo pokonać. Gdyby Joseph Stiglitz miał streścić tę sytuację jednym komentarzem, zapewne zauważyłby, że podczas gdy elity sprzedają społeczeństwu heroizm, rynek zmusza je do kupowania drożyzny. USA handlują porządkiem opartym na sile, Izrael koniecznością przetrwania, a Iran zdolnością do zadawania bólu, niemniej pod spodem wszędzie działa ten sam mechanizm.

Współczesna wojna to nie tylko kwestia tego, kto kogo trafił na polu bitwy, lecz przede wszystkim tego, kto komu skutecznie rozbił strukturę cen energii i podbił dług publiczny. Geopolityka zostaje tu brutalnie zamieniona w codzienne rachunki za życie, przy czym każda ze stron próbuje sprzedać własny koszt jako wyłączną winę przeciwnika. Jest to dokładnie ten rodzaj manipulacji, który Stiglitz uwielbiał demaskować, wskazując na asymetrię informacji między decydentami a resztą społeczeństwa. Wojna nie jest free to play, ona jest pay later, suffer longer, a polityczne zapewnienia o kontroli nad wydatkami są zazwyczaj sygnałem, że rachunek właśnie ląduje pod dywanem. Triumf nowoczesnej władzy polega bowiem na umiejętności prowadzenia działań zbrojnych w taki sposób, by obywatele nie odczuli ich pełnej ceny w momencie podejmowania decyzji.

W tym punkcie ekonomia spotyka się z prawem publicznym, a oba te porządki zderzają się z antropologią polityczną, tworząc nową technologię redystrybucji kosztu i rozpraszania cierpienia. Wojna przestaje być wyłącznie aktem przemocy międzypaństwowej, stając się narzędziem kamuflowania związku między decyzją polityczną a realnym rachunkiem społecznym. Złudzenie darmowej wojny, czyli praktyka polegająca na przekonywaniu społeczeństwa, że konflikt nie wiąże się z bezpośrednim obciążeniem finansowym, pozwala politykom na angażowanie się w spory bez realnej zgody rządzonych. Stwierdzenie, że nie ma darmowych obiadów ani darmowych wojen, nie jest jedynie publicystyczną ozdobą, lecz stanowi elementarz ekonomii politycznej, który Stiglitz i Bilmes uchwycili dekady temu. Ich intuicja dotycząca ukrytych obciążeń nie zestarzała się ani trochę, w przeciwieństwie do naiwnie umiarkowanych szacunków, które regularnie pojawiają się w oficjalnych komunikatach.

Już w 2010 roku Linda Bilmes i Joseph Stiglitz otwarcie przyznawali, że ich słynna wycena kosztów wojny w Iraku na poziomie trzech bilionów dolarów była prawdopodobnie zaniżona. Głównym powodem tego niedoszacowania okazały się gigantyczne nakłady na diagnozowanie, leczenie oraz kompensowanie niepełnosprawności weteranów, które ujawniają się dopiero po latach. Asymetryczny kontrakt, czyli relacja, w której państwo sprawnie mobilizuje obywatela do walki, ale zawodzi w zapewnieniu mu opieki po powrocie, generuje koszty, których nie widać w raportach z frontu. Współczesne badania projektu Costs of War na Brown University potwierdzają tę tezę, wskazując, że dla samych konfliktów w Iraku i Syrii wydatki te przekroczą 2,89 biliona dolarów do 2050 roku. Opieka nad byłymi żołnierzami postępująco przesuwa ciężar wojny z pola bitwy do sal rehabilitacyjnych i budżetów rodzinnych, co czyni z niej długofalowe obciążenie dla przyszłych ustaw budżetowych.

W szerszej perspektywie globalnej, obejmującej okres po 11 września, projekt Brown szacuje całkowite koszty na około osiem bilionów dolarów, z czego sama opieka nad weteranami pochłonie do 2,5 biliona. To zestawienie jest kluczowe, ponieważ demaskuje pierwsze z wielkich złudzeń nowoczesnej polityki obronnej, mianowicie przekonanie, że wojna finansowana długiem staje się tańsza. Księgowość zaciemniająca, czyli systemowe zawężanie raportowanych wydatków wojennych i przesuwanie strat między różnymi bilansami państwowymi, sprawia, że konflikt staje się jedynie mniej widzialny dla współczesnych wyborców. Wojna z długu jest dla elit kusząca nie dlatego, że jest ekonomicznie rozsądna, lecz dlatego, że działa jak polityczne znieczulenie, odsuwając moment otrzeźwienia na czas, gdy decydentów nie będzie już u władzy. Ostatecznie to przyszłe pokolenia będą musiały uregulować rachunek za dzisiejsze sny o potędze i strategicznej dominacji, płacąc za nie brakiem nowych szkół czy nowoczesnej infrastruktury.

Wojna na kredyt: polityczne znieczulenie i koszt alternatywny

Z perspektywy fiskalnej dług nie jest magiczną gumką do ścierania kosztów, lecz jedynie narzędziem zmieniającym ich temporalność, czyli usytuowanie w czasie. Z punktu widzenia politycznego zadłużenie nie wygasza konfliktu społecznego, lecz sprytnie go odracza, przenosząc ciężar decyzji na barki tych, którzy nie mogą jeszcze protestować. Moralnie rzecz biorąc, mechanizm ten nie uwalnia wspólnoty od odpowiedzialności, lecz ceduje ją na podatników nieobecnych przy urnach, a niekiedy nawet nieobecnych jeszcze na świecie. Nie mamy tu do czynienia z niewinną księgową drobnostką, lecz z fundamentalnym problemem konstytucyjnym

współczesnej demokracji. To klasyczny przypadek, w którym politycy sprzedają społeczeństwu atrakcyjny zwiastun, a ono w zamian otrzymuje wieloletnią subskrypcję bez opcji anulowania.

Sarah Kreps, analizując amerykańskie strategie finansowania konfliktów, słusznie zauważa, że dylemat między podatkiem a długiem wykracza daleko poza technikalia budżetowe. Jest to w istocie wybór między wysokim a niskim poziomem demokratycznej odpowiedzialności, ponieważ podatki natychmiast materializują cenę krwi i żelaza w codziennym doświadczeniu obywatela. Pożyczka natomiast skutecznie rozcieńcza opór społeczny i sprzyja niebezpiecznej ekspansji dyskrecjonalnej władzy wykonawczej, która zyskuje swobodę działania poza realną kontrolą suwerena. Trzeba wprost wyartykułować to, czego klasa polityczna unika jak ognia: wojna na kredyt kusi elity nie ze względu na ekonomiczną racjonalność, lecz przez swoje właściwości znieczulające. Wojna z długu jest dla elit kusząca nie dlatego, że jest ekonomicznie rozsądna, lecz dlatego, że jest politycznie znieczulająca.

W takim modelu przeciętny obywatel nie dostaje do ręki rachunku z pieczęcią Ministerstwa Wojny, nie widzi nowej daniny ani nie słyszy sygnału powszechnej mobilizacji. Zamiast tego otrzymuje on inflację rozproszoną, rosnące odsetki od długu oraz drastycznie niższą dynamikę inwestycji, która dusi przyszły wzrost gospodarczy. Do tego dochodzą przeciążone systemy opieki nad weteranami, windowane ceny energii oraz długie, mroczne cienie traumy kładące się na życiu całych rodzin. Współczesna władza uwielbia koszty rozproszone, ponieważ rozproszona krzywda jest znacznie trudniejsza do zorganizowania politycznie niż nagły, jednorazowy ból fiskalny. Demokracja, która nie odczuwa realnej ceny wojny w czasie teraźniejszym, traci jeden z najważniejszych hamulców bezpieczeństwa chroniących ją przed imperialną pychą.

Krytycy słusznie uderzają w mit rzekomego współistnienia armat i masła, który od dekad mami opinię publiczną obietnicą bezbolesnych zbrojeń. Deficyt budżetowy tworzy bowiem niebezpieczne złudzenie, że żelazne prawa ekonomii można zawiesić na kołku na czas trwania operacji wojskowej. Sugeruje się nam, że państwo potrafi jednocześnie prowadzić kosztowną kampanię, obniżać podatki, utrzymywać wydatki socjalne i jeszcze prezentować to jako dowód mocarstwowej siły. Taka narracja to w rzeczywistości infantylna metafizyka, która z rzetelną makroekonomią nie ma absolutnie nic wspólnego. Rachunek za te iluzje zawsze wraca, objawiając się w postaci wyższego kosztu obsługi długu lub wypychania inwestycji prywatnych przez potrzeby pożyczkowe państwa.

Najbardziej druzgocącym wymiarem jest jednak koszt alternatywny, czyli wartość korzyści, z których państwo rezygnuje, przeznaczając środki na instrumenty destrukcji zamiast na rozwój. To są te wszystkie nieodkryte leki, nieufundowane badania podstawowe, niezbudowane linie kolejowe i zapaść w psychiatrii dziecięcej, na które rzekomo brakuje przestrzeni fiskalnej. Państwo potrafi wydać astronomiczne kwoty na pociski, by za chwilę z twarzą urzędowego ascety twierdzić, że na

edukację czy zdrowie publiczne po prostu nie ma pieniędzy. To już nie jest ekonomia, lecz cyniczna państwowa dramaturgia, w której brakuje nie środków, lecz elementarnej hierarchii celów. Prawdziwa mądrość polega na zrozumieniu, że każda złotówka wydana na front jest złotówką zabraną z przyszłości.

Kto liczy tylko pociski, nie rozumie konfliktu, a kto liczy tylko budżet operacyjny, nie rozumie wojny. Ekonomiczna krytyka działań zbrojnych nabiera pełnej mocy dopiero wtedy, gdy przejdziemy od samego budżetu Pentagonu do analizy wtórnych zaburzeń gospodarczych, czyli pośrednich skutków wojny, takich jak inflacja czy spadek zaufania inwestorów. Mechanizm ten kolonizuje przyszłe budżety, zamieniając potencjał rozwojowy narodu na doraźne cele militarne, których zasadność rzadko bywa poddawana rzetelnej debacie publicznej. Dopiero gdy zdejmiemy z oczu opaskę długu, zobaczymy, że wojna nigdy nie jest darmowa, a jej prawdziwa cena jest płacona przez pokolenia, które nie miały głosu w sprawie jej rozpoczęcia. To nie jest tylko kwestia cyfr, to kwestia przetrwania samej idei państwa opiekuńczego.

Ukryty rachunek krwi: dlaczego wojna to długofalowe obciążenie

Intuicja Josepha Stiglitza, noblisty o rzadkim darze dostrzegania pęknięć w gładkich narracjach głównego nurtu, wyprzedziła debatę publiczną o całe dekady. Wojna w Iraku, wbrew zapewnieniom ówczesnych optymistów, nie była dla gospodarki jedynie bolesnym, lecz zamkniętym wydatkiem operacyjnym. Stała się ona raczej epicentrum wtórnych zaburzeń gospodarczych, czyli pośrednich skutków konfliktu, które niczym fala uderzeniowa rozchodzą się po całym systemie finansowym. Gwałtowny wzrost cen ropy naftowej zadziałał wówczas jak nieformalny, dodatkowy podatek nałożony na miliony gospodarstw domowych oraz tysiące przedsiębiorstw. Ten gigantyczny transfer środków do eksporterów energii systematycznie osłabiał popyt wewnętrzny, uderzając rykoszetem w globalnych partnerów handlowych Stanów Zjednoczonych. Politycy sprzedają obietnicę, a społeczeństwo dostaje subskrypcję bez opcji anulowania.

Dzisiaj, patrząc na mapę świata po dwóch dekadach, analizy geoekonomiczne potwierdzają tę brutalną prawdę z jeszcze większą siłą. Konflikty w rejonie Zatoki Perskiej czy strategicznych cieśnin nie są jedynie lokalnymi awanturami o podłożu ideologicznym, lecz precyzyjnymi mechanizmami destabilizacji całego globu. Natychmiast przekładają się one na drastyczne wzrosty kosztów frachtu, turbulencje w łańcuchach dostaw oraz gwałtownie rosnące premie za ryzyko. To nie jest osobna, zamknięta historia, lecz ten sam system naczyń połączonych, który Stiglitz zdiagnozował na materiale irackim. Współczesne starcia jedynie potwierdzają, że w globalnej

wiosce każdy wystrzał w odległym porcie odbija się echem w cenie chleba na drugim końcu świata. Wszak ekonomia nie znosi próżni, a każda destabilizacja ma swojego konkretnego płatnika.

Jeżeli w ogóle istnieje jakaś uniwersalna formuła łącząca ekonomię z twardą geopolityką, to brzmi ona nadzwyczaj surowo. Wojna nie tylko kosztuje w sensie bezpośrednim, ona przede wszystkim radykalnie zmienia strukturę kosztów w całym systemie światowym. Mechanizm ten wzmacnia jednych eksporterów, bezlitośnie osłabia importerów i premiuje tych aktorów, którzy potrafią skutecznie monetyzować chaos. Podbija koszty ubezpieczeń i transportu, drastycznie obniżając przy tym przewidywalność inwestycyjną, co dla rynków finansowych jest scenariuszem najgorszym. Z tej perspektywy konflikt w Iraku był w istocie formą globalnej redystrybucji bogactwa i wpływów politycznych. Droższa ropa wzmocniła pozycję reżimów w Teheranie czy Moskwie, co dziś brzmi już jak oczywisty aksjomat geopolityki energetycznej.

Jeszcze bardziej niszczący dla oficjalnych, wygładzonych narracji państwowych jest rozdział poświęcony kosztom społecznym operacji militarnych. To właśnie tutaj z największym hukiem rozpada się wygodna fikcja, że wojna jest czymś, co dzieje się wyłącznie na ekranach telewizorów. Państwo wykazuje bowiem skłonność do stosowania księgowości zaciemniającej, czyli systemowego zawężania raportowanych wydatków w celu ukrycia faktycznej skali zadłużenia przed obywatelami. Wojskowa księgowość, skupiona na doraźnych słupkach budżetowych, okazuje się w tym ujęciu nie tylko zbyt wąska, ale wręcz antropologicznie kaleka. Widzi ona suchy dokument wypłaty, lecz pozostaje całkowicie ślepa na dramat zrujnowanej biografii i rozbitej rodziny. Nie brakuje pieniędzy. Brakuje hierarchii celów.

Ekonomia społeczna oraz rzetelna analiza dobrobytu stosują zupełnie inne, znacznie bardziej dotkliwe kryteria pomiaru strat. Liczą one utracone lata pracy, zaprzepaszczony potencjał zarobkowy oraz brutalnie przerwane cykle karier zawodowych młodych ludzi. Uwzględniają wtórne koszty dla rodzin, gigantyczne nakłady na długofalową opiekę oraz niemierzalne, a jednak realne koszty cierpienia psychicznego. Wzrost ryzyka bezdomności, uzależnień oraz trwały rozpad więzi społecznych to pozycje, których nie znajdziemy w standardowych raportach Pentagonu. Niemniej współczesne badania potwierdzają, że ten ukryty rachunek nie tylko nie zniknął, ale urósł do rozmiarów kompromitujących dawną lekkość politycznych zapewnień. Wojna nie jest darmowa. Ona oznacza płatność w przyszłości i długotrwałe cierpienie.

Dane płynące z projektu Costs of War są w tym kontekście wręcz porażające dla każdego analityka finansów publicznych. Wydatki na opiekę nad weteranami wojen toczonych po 2001 roku wzrosły z 2,4 procent budżetu federalnego do niemal 5 procent w roku 2020. Dzieje się to przy jednoczesnym spadku ogólnej liczby żyjących weteranów ze wszystkich konfliktów z 25 do 18 milionów osób. Ponad 40 procent weteranów służących po 11 września ma dziś pełne prawo do dożywotnich

świadczeń z tytułu niepełnosprawności. Prognozy wskazują, że odsetek ten wzrośnie do ponad połowy całej populacji służących w ciągu najbliższych trzech dekad. To jest polityczny mechanizm ukrywania kosztów, który teraz wystawia rachunek przyszłym pokoleniom.

Ta konkretna liczba powinna zatrzymać w pół kroku każdego poważnego ekonomistę zajmującego się polityką państwa. Oznacza ona bowiem, że wojna nigdy nie jest jednorazowym wydatkiem operacyjnym, lecz generuje niezwykle długi ogon zobowiązań publicznych. Prawo budżetowe i elementarna etyka państwa stają się w tym punkcie całkowicie nierozdzielne i współzależne. Jeżeli rząd decyduje się na prowadzenie wojny, nie rezerwując adekwatnych środków na przyszłą opiekę, dopuszcza się instytucjonalnego oszustwa normatywnego. Najpierw państwo sprawnie mobilizuje ciało obywatela do podjęcia ryzyka śmierci w imię wyższych celów. Następnie próbuje księgowo odsunąć w czasie własny, święty obowiązek opieki nad tym, co z tego obywatela pozostało.

Właśnie dlatego tak doniosła i rewolucyjna jest rekomendacja, by tworzyć zamknięte fundusze powiernicze dla weteranów już w momencie wybuchu konfliktu. Należy traktować przyszłe leczenie i rehabilitację jako zobowiązanie powstające w chwili podjęcia decyzji o ataku, a nie dekady później. Ta intuicja Stiglitza i Bilmes została w pełni potwierdzona przez późniejsze, niezwykle szczegółowe badania prowadzone na Uniwersytecie Browna. Społeczeństwa liberalne mają bowiem smutną tendencję do celebrowania żołnierza w sposób czysto symboliczny, przy jednoczesnym finansowaniu go z ogromną niechęcią. Ceremoniał wdzięczności bywa zazwyczaj znacznie obfitszy niż realna infrastruktura terapeutyczna dostępna dla potrzebujących. Kto liczy tylko pocisk, nie rozumie konfliktu. Kto liczy tylko budżet operacyjny, nie rozumie wojny.

Retoryka honoru okazuje się w praktyce znacznie bardziej hojna niż system realnych roszczeń finansowych i medycznych. To właśnie czyni analizy Stiglitza tak drażniącą lekturą dla sumienia elit politycznych, które wolą moralne dekoracje od twardych zobowiązań. Współczesny stan aparatu administracyjnego jedynie w niewielkim stopniu poprawia ten ponury obraz realiów. Choć oficjalne dane pokazują spadek zaległości w rozpoznawaniu roszczeń, to skala spraw oczekujących wciąż budzi grozę. Sam fakt, że w 2024 roku wypłacono ponad 173 miliardy dolarów świadczeń, potwierdza tezę o ogromie długofalowych obciążeń. Toteż wojna zawsze wraca do kraju, najczęściej pod postacią nieubłaganej, administracyjnej lawiny, której nie da się zatrzymać.

Wojna jako koszt ustrojowy: poza tabelami strat

Państwo, optymalizując tempo procesowania skutków własnych decyzji militarnych, wcale nie unieważnia pierwotnej diagnozy o destrukcyjności konfliktu, lecz paradoksalnie ją uwiarygadnia. Rozbudowa biurokracji pomocowej i systemów wsparcia jest bowiem namacalnym dowodem na to,

jak potężny ciężar generuje współczesna machina wojenna. Najbardziej wstrząsający pozostaje jednak wymiar psychiczny, który wymyka się prostym arkuszom kalkulacyjnym i oficjalnym komunikatom frontowym. Raport Brown University z 2021 roku przyniósł dane wskazujące na tragiczną dysproporcję strat, której nie sposób zignorować. Okazało się, że co najmniej czterokrotnie więcej żołnierzy i weteranów służących po 11 września odebrało sobie życie, niż zginęło bezpośrednio w wyniku działań bojowych. Te 30 177 samobójstw wobec 7 057 zgonów na polu walki to nie jest statystyczny margines, lecz fundamentalna zmiana definicji kosztu.

Śmierć nie kończy się wraz z ostatnim wystrzałem, a trauma nie daje się zamknąć w sztywnych rubrykach strat operacyjnych, co czyni z wojny proces rozciągnięty na dekady. Choć dane Pentagonu z 2024 roku sugerują spadek liczby samobójstw o około 11 procent, sam resort studzi optymizm, wskazując na niepokojące trendy długofalowe. Punktowe sukcesy statystyczne nie unieważniają bowiem strukturalnego kryzysu zdrowia psychicznego, który trawi tkankę społeczną długo po demobilizacji ostatnich jednostek. Wszak politycy chętnie podtrzymują złudzenie darmowej wojny, czyli przekonanie społeczeństwa, że konflikt zbrojny nie wiąże się z bezpośrednim obciążeniem finansowym lub wyrzeczeniami. Pozwala to odsunąć w czasie moment, w którym obywatele zorientują się, że za zwiastunem chwały kryje się subskrypcja cierpienia bez opcji anulowania.

Jeżeli ktoś nadal próbuje forsować tezę, że wojna stanowi ożywczy impuls dla gospodarki, musi najpierw zmierzyć się z pytaniem o cenę tego rzekomego wzrostu. Trudno uznać za sukces system, który generuje niekończący się łańcuch rent, głębokich zaburzeń psychicznych oraz przeciążonych do granic możliwości rodzin opiekuńczych. Zwiększony strumień wydatków budżetowych nie jest tożsamy z budowaniem dobrobytu, tak jak praca szklarza po wybiciu szyby nie czyni właściciela domu bogatszym. Toteż ekonomia rozwinięta ponad poziom memu odrzuca prymitywne interpretacje na rzecz rzetelnej analizy strat netto. Współczesne opracowania, w tym te pochodzące z projektu Costs of War, konsekwentnie stoją po stronie tej niewygodnej prawdy, którą militarny entuzjazm woli przemilczeć.

Wojna nie tylko drenuje zasoby i okalecza ludzi, ale przede wszystkim uczy aparat państwowy nawyków, które są skrajnie niebezpieczne dla zdrowia każdej republiki. Wytwarza ona kulturę obchodzenia standardowych procedur budżetowych, korzystania z nadzwyczajnych ścieżek finansowania oraz delegowania kluczowych funkcji publicznych na rzecz prywatnych wykonawców. Przy tym powstają strefy osłabionej przejrzystości, gdzie mieszanie strumieni wydatkowych staje się normą, a nie wyjątkiem wymagającym szczególnego uzasadnienia. Krytyka tzw. emergency supplementals, czyli dodatkowych funduszy uchwalanych poza regularnym budżetem, pozostaje dziś bardziej aktualna niż w momencie publikacji prac Stiglitza i Bilmes. Państwo, które raz nauczy

się finansować swoje ambicje poza rytmem fiskalnej odpowiedzialności, z wielką łatwością przenosi te patologie na inne obszary aktywności.

Współczesny kontekst audytowy Departamentu Obrony stanowi najlepszą ilustrację tego, jak głęboko sięga problem braku kontroli nad największą machiną wydatkową świata. Pentagon przez lata nie potrafił uzyskać czystej opinii audytowej, a rok 2024 przyniósł siódmy z rzędu disclaimer of opinion, co w języku finansów oznacza kapitulację kontrolerów. Niemniej doniesienia z przełomu 2025 roku sugerują, że ósmy audyt również zakończył się fiaskiem, mimo deklaracji o dojściu do stanu pełnej przejrzystości do 2028 roku. Księgowość zaciemniająca, czyli systemowe zawężanie raportowanych wydatków wojennych i przesuwanie strat między bilansami, nie jest więc tylko historycznym zarzutem, lecz trwałym elementem systemu. Taka praktyka pozwala na utrzymywanie iluzji kontroli tam, gdzie w rzeczywistości panuje strukturalny chaos informacyjny i brak odpowiedzialności.

Ostatecznie koszt wojny nie jest wyłącznie kategorią finansową, lecz przede wszystkim fundamentalną kategorią ustrojową, która definiuje relację między obywatelem a Lewiatanem. Mówi nam ona, czy państwo jeszcze pamięta o obowiązku jawnego rozliczania przemocy, czy też przyzwyczaiło się już do życia na pożyczone pieniądze i pożyczony czas. Wszak to tutaj objawia się asymetryczny kontrakt, czyli relacja, w której państwo sprawnie mobilizuje obywatela do walki, ale zawodzi w zapewnieniu mu opieki po powrocie. Prawdziwy rachunek zysków i strat pozwala ocenić, czy obywatel jest realnym współautorem decyzji o interwencji, czy jedynie jej późnym, nieświadomym sponsorem. Kto liczy tylko pocisk, nie rozumie konfliktu, a kto ogranicza się do budżetu operacyjnego, ten całkowicie ignoruje istotę nowoczesnej wojny.

Każdy lotniskowiec ma swoją cenę księgową, jednak znacznie trudniej jest oszacować koszt alternatywny, czyli wartość korzyści, z których państwo rezygnuje na rzecz zbrojeń. W tym bilansie brakuje laboratoriów, których nigdy nie zbudowano, linii kolejowych, których nie dokończono, oraz terapii, na które zabrakło środków w kluczowym momencie. Toteż najbardziej bolesny jest brak nauczycieli, których nie zatrudniono, oraz postępująca erozja zaufania społecznego, którego po utracie nie da się już odkupić za żadne pieniądze. To właśnie ten niewidoczny rachunek, ukryty pod warstwą patriotycznej retoryki i skomplikowanych tabel, jest rachunkiem najprawdziwszym i najbardziej ostatecznym. Wojna nie jest darmową rozrywką. Ona jest płatnością odroczoną i długotrwałym cierpieniem.

Księgowość jako broń: jak państwo ukrywa cenę przemocy

Współczesne państwo opanowało sztukę prowadzenia wojny z gracją korporacji, która przesuwa straty między bilansami spółek zależnych, byle tylko nie kłuły w oczy akcjonariuszy. Koszt przemocy nie znika w próżni, lecz zostaje rozproszony, odroczony i poddany starannej obróbce wizualnej, która czyni go niemal niedostrzegalnym dla przeciętnego obywatela. Joseph Stiglitz i Linda Bilmes nie zyskali rozgłosu jedynie dzięki rzuceniu na stół efektownej, wielocyfrowej kwoty, lecz przede wszystkim dlatego, że precyzyjnie rozmontowali ten mechanizm iluzji. W ich wywodzie intelektualnym to nie słynne trzy biliony dolarów stanowiły punkt ciężkości, lecz diagnoza systemowej ułomności rządowej księgowości wojennej. Była ona bowiem programowo zbyt wąska, skrajnie upolityczniona i organicznie nieskłonna do uczciwego ujmowania pełnych zobowiązań finansowych państwa. Współczesne dane nie tylko nie osłabiają tej tezy, ale wręcz ją utwardzają, pokazując, że kreatywna księgowość stała się fundamentem nowoczesnej strategii militarnej.

Niedocenioną wartością pracy Stiglitza i Bilmes nie jest sama skala wystawionego rachunku, lecz fakt, że autorzy ci nie zatrzymują się na jałowym moralnym oburzeniu czy ekonomicznej nekrologii. Nie ograniczają się do stwierdzenia, że wojna była kosztowna, fatalnie administrowana i oparta na błędnych kalkulacjach, co byłoby jedynie opisem zastanej tragedii. Zamiast tego stawiają sobie cel znacznie ambitniejszy, próbując zrekonstruować warunki, w których państwo straciłoby możliwość tak łatwego ukrywania kosztów przemocy za zasłoną dymną procedur awaryjnych. Właśnie z tego powodu ich osiemnaście rekomendacji należy odczytywać nie jako technokratyczny dodatek, lecz jako głęboki projekt ustrojowy o charakterze naprawczym. Jest to w istocie próba odbudowy związku między decyzją o wszczęciu konfliktu, odpowiedzialnością fiskalną, prawami obywatelskimi a instytucjonalnym obowiązkiem wobec weteranów. Wszak w świetle późniejszych analiz Brown University projekt ten nie wydaje się dziś postulatem przesadnym, lecz raczej planem minimum dla cywilizowanego państwa.

Pierwszy blok proponowanych reform, koncentrujący się na przejrzystości informacji i procedurach księgowych, uderza precyzyjnie w te miejsca, w których nowoczesne państwo nauczyło się najskuteczniej oszukiwać samo siebie. Zakaz finansowania wieloletniego konfliktu z funduszy awaryjnych po upływie pierwszego roku nie jest jedynie formalistyczną fanaberią znudzonych ekonomistów. To fundamentalna próba odebrania egzekutywie prawa do funkcjonowania w permanentnym stanie nadzwyczajnym, który zawiesza standardowe mechanizmy kontroli społecznej. Jeżeli konflikt zbrojny trwa latami, przestaje być nagłym epizodem i staje się zwyczajną, choć tragiczną, częścią polityki publicznej państwa. A każda zwykła polityka publiczna musi

ostatecznie powrócić do rygorystycznego reżimu odpowiedzialności budżetowej, z którego została wyjęta pod wpływem wojennej gorączki. Niemniej kiedy autorzy domagają się, aby każdy kolejny wniosek o środki był poparty nową strategią i rzetelną kalkulacją, walczą o to, by wojna nie była zasilana wyłącznie siłą bezwładu.

Druga grupa rekomendacji, poświęcona pełnej rachunkowości, okazuje się jeszcze bardziej niebezpieczna dla politycznych elit, ponieważ odbiera im ich najskuteczniejszą broń, czyli fragmentację obrazu rzeczywistości. Księgowość zaciemniająca, czyli systemowe zawężanie raportowanych wydatków wojennych i przesuwanie strat między różnymi bilansami państwowymi, pozwala na utrzymanie złudzenia darmowej wojny. Rząd z upodobaniem rozkłada koszty na dziesiątki osobnych kieszeni instytucjonalnych, sprawiając, że część wydatków ląduje w Pentagonie, część w Departamencie Spraw Weteranów, a jeszcze inna w systemie ubezpieczeń społecznych. Istnieją też koszty ukryte w utraconym popycie, których nie księguje się wcale, oraz w amortyzacji sprzętu, którą najchętniej przesuwa się w daleką przyszłość. W tak skonstruowanej strukturze nikt nie jest w stanie dostrzec całości obrazu, co sprawia, że z perspektywy politycznej ta całość po prostu przestaje istnieć. Toteż żądanie zintegrowanego rachunku wojennego jest w istocie próbą narzucenia państwu przymusu poznawczej uczciwości.

Współczesne badania w ramach projektu Costs of War, które sumują wydatki bieżące z kosztami opieki nad weteranami aż do połowy stulecia, podążają dokładnie tym samym tropem analitycznym. Pokazują one dobitnie, że dopiero połączenie doraźnych kosztów operacyjnych z długim ogonem przyszłych świadczeń pozwala zbliżyć się do prawdy o rzeczywistym obciążeniu państwa. Rachunkowość państwowa nie jest bowiem neutralnym lustrem odbijającym rzeczywistość, lecz potężnym narzędziem politycznym, które może kształtować percepcję społeczną według doraźnych potrzeb. To, czego nie ujmiesz w oficjalnym zestawieniu jako kosztu, nie będzie wymagało kłopotliwej obrony przed podatnikami ani nie wywoła natychmiastowej paniki wyborczej. Jest to polityczny mechanizm ukrywania kosztów, gdzie politycy sprzedają społeczeństwu efektowny zwiastun, a obywatele otrzymują subskrypcję na przemoc bez opcji łatwego anulowania. Księgowość nie jest zatem nudnym zapleczem działań zbrojnych, lecz bywa ich najsubtelniejszą bronią, uderzającą w same fundamenty demokratycznej kontroli.

Właśnie dlatego autorzy sugerowali wprowadzenie do sfery publicznej odpowiedników reguł osobistej odpowiedzialności, które od lat z powodzeniem funkcjonują w nowoczesnych porządkach korporacyjnych. Jeżeli w prywatnej spółce menedżerowie ponoszą surowe konsekwencje za rzetelność obrazu finansowego, to tym bardziej powinni odpowiadać za nią ci, którzy zarządzają największą publiczną machiną wydatkową świata. Trwałe problemy Departamentu Obrony z uzyskaniem czystej opinii audytowej stanowią dziś miażdżący argument empiryczny na rzecz tej

tezy, a nie jej osłabienie. W 2024 roku resort obrony po raz kolejny otrzymał disclaimer of opinion, co w języku księgowych oznacza, że audytorzy nie byli w stanie rzetelnie ocenić skali bałaganu. Według doniesień agencji Reuters w 2025 roku Pentagon nie przeszedł także ósmego audytu z rzędu, co potwierdza, że systemowa nieprzejrzystość jest cechą, a nie błędem tej instytucji. Równie przenikliwy był postulat raportowania pełnych kosztów makroekonomicznych, które uświadamiają nam, że wojna z długu działa jak polityczny środek znieczulający.

Wprowadzenie pełnej przejrzystości pozwoliłoby wreszcie na rzetelną dyskusję o kosztach alternatywnych, czyli wartości korzyści, z których państwo rezygnuje, przeznaczając gigantyczne środki na zbrojenia zamiast na inwestycje rozwojowe. Uświadamia to społeczeństwu, że prawdziwym kosztem armat jest brak nowoczesnych szkół, dróg czy innowacji, które mogłyby napędzać gospodarkę w czasach pokoju. Równocześnie ukrywanie kosztów niszczy kapitał normatywny, czyli zasób zaufania i wiarygodności mocarstwa jako lidera przestrzegającego reguł, co w dłuższej perspektywie osłabia zdolność państwa do zarządzania globalnymi kryzysami. Kiedy państwo sprawnie mobilizuje obywatela do walki, ale zawodzi w zapewnieniu mu opieki po powrocie, tworzy asymetryczny kontrakt, który uderza w samą tkankę społeczną. Wtórne zaburzenia gospodarcze, takie jak inflacja czy wzrost cen energii, działają wówczas jak ukryty podatek nałożony na całe społeczeństwo, którego nikt nigdy nie poddał pod głosowanie. W ostatecznym rozrachunku okazuje się, że w systemie brakuje nie tyle samych pieniędzy, ile raczej uczciwej hierarchii celów.

Demokratyczna cena wojny: dlaczego jawność jest koniecznością

To właśnie na tym poziomie, niemal mikroskopijnym, ujawnia się bolesny rozdział między państwowym zapisem księgowym a brutalną społeczną rzeczywistością. Oficjalny koszt wojny bywa bowiem nierzadko tylko bladym cieniem konfliktu, który realnie toczy się w tkance państwa. Nie obejmuje on wtórnych zaburzeń gospodarczych, czyli zjawisk takich jak podwyższone ceny energii, wypieranie inwestycji prywatnych czy utracone bezpowrotnie możliwości wzrostu. Do tego dochodzi spadek aktywności zawodowej opiekunów rodzinnych oraz gigantyczne, długofalowe koszty psychiatryczne, których budżet Pentagonu zdaje się nie dostrzegać. Gdy Brown University analizuje dziś wojny w Iraku i Syrii, bierze pod uwagę nie tylko bieżące wydatki, lecz także przyszłe zobowiązania medyczne. W gruncie rzeczy naukowcy ci realizują program Josepha Stiglitza z pewnym historycznym opóźnieniem, przywracając debacie należytą powagę.

To, co kiedyś uchodziło za krytyczne przerysowanie pacyfistów, dziś stało się standardem każdej rzetelnej i poważnej analizy ekonomicznej. Kolejna z proponowanych reform dotyczy swobodnego dostępu do informacji, co z pozoru brzmi jak nudna procedura urzędowa. W rzeczywistości dotyczy to jednak ontologii obywatelstwa, czyli nauki o strukturze bytu i relacjach między jednostką a suwerenem. Wojna ukryta przed opinią publiczną staje się bowiem zbyt łatwa do wywołania przez polityczne elity. Można powiedzieć, że politycy sprzedają nam efektowny zwiastun, a społeczeństwo dostaje subskrypcję bez opcji anulowania. Wojna liczona wybiórczo staje się zbyt tania w powszechnej percepcji, co osłabia naturalne mechanizmy demokratycznej kontroli.

Wzmocnienie reżimu jawności nie jest luksusem zarezerwowanym dla dociekliwych dziennikarzy śledczych czy akademickich teoretyków. Jest to fundamentalny, konstytucyjny warunek sprawowania kontroli nad państwowym monopolem na stosowanie przemocy fizycznej. Późniejsze spory o statystyki samobójstw czy czas oczekiwania na świadczenia pokazują, że aparat wojenny naturalnie dąży do niepełnej samowiedzy. Stosowana jest tu często księgowość zaciemniająca, czyli systemowe zawężanie raportowanych wydatków i przesuwanie strat między różnymi bilansami państwowymi. Szczególnie interesująco brzmi w tym kontekście krytyka prywatnych wykonawców oraz postępującej militaryzacji outsourcingu usług obronnych. W epoce celebrowania haseł o sprawności zarządzania prywatyzacja bywa przedstawiana jako dowód nowoczesności. Jest to polityczny mechanizm ukrywania kosztów.

W warunkach konfliktu zbrojnego słaby nadzór i rozproszenie odpowiedzialności prowadzą do utraty sterowności nad publicznymi finansami. To nie jest zwykła wada rynku usług, lecz głęboki problem z samą naturą delegowania funkcji suwerennej na podmioty komercyjne. Państwo może oczywiście wynająć zewnętrznego wykonawcę do logistyki, niemniej znacznie trudniej jest mu wynająć odpowiedzialność polityczną. Ta ostatnia zazwyczaj znika jako pierwsza w gąszczu skomplikowanych zapisów umownych i klauzul tajności. Ta intuicja pozostaje aktualna także dziś, gdy spory o efektywność Pentagonu towarzyszą debacie o kondycji budżetu. Nie brakuje pieniędzy. Brakuje hierarchii celów.

Wielokrotne wysyłanie rezerwistów na kolejne tury zniekształca społeczne postrzeganie wojny, pozwalając utrzymywać fikcję ograniczonego konfliktu. Pojawia się tu koszt alternatywny, czyli wartość korzyści, z których państwo rezygnuje, drenując lokalne społeczności z ratowników i organizatorów. Realna cena wojny nie pojawia się wtedy wyłącznie na odległym teatrze działań, lecz w każdej osłabionej gminie. Autorzy proponowali więc nie tylko limitowanie czasu użycia tych formacji, lecz także pełne finansowe ujawnienie kosztów powołań. Jeżeli państwo chce korzystać z ukrytego rezerwuaru siły, powinno odczuć to również w swoim bilansie fiskalnym. Tylko wtedy przestaje ono udawać, że posiada zdolność wojenną bez sięgania po zasoby wspólnot lokalnych.

Politycznie najbardziej drażniący był postulat wprowadzenia bezpośredniego podatku wojennego, który narusza tabu nowoczesnej demokracji konsumpcyjnej. Wojna miałaby przestać być czymś zdalnym i abstrakcyjnym, wracając na rachunek bieżący każdego obywatela. Dla wielu brzmi to brutalnie, wszak przyzwyczajono nas do myślenia, że wojna to usługa typu free to play. W istocie jest to jednak najuczciwszy z możliwych instrumentów przywracania odpowiedzialności za decyzje państwa. Wojna finansowana przez obecnych podatników zmusza społeczeństwo do szybkiej odpowiedzi na pytanie o sens ponoszonych ofiar. Wojna z długu jest dla elit kusząca nie dlatego, że jest rozsądna, lecz dlatego, że jest politycznie znieczulająca.

Współczesna literatura o finansowaniu konfliktów podkreśla napięcie między wygodą kredytu a rygorem bieżącego opodatkowania. Sposób finansowania wojny wpływa bezpośrednio na gotowość obywateli do pełnienia roli hamulca wobec wykonawczej skłonności do przemocy. Pod tym względem propozycja specjalnego podatku dodatkowego nie jest ekonomicznym ekscesem, lecz próbą ratowania demokratycznego kontraktu. Złudzenie darmowej wojny, czyli przekonanie społeczeństwa o braku bezpośrednich obciążeń finansowych, pozwala politykom na angażowanie się w konflikty bez realnej zgody. Często mamy tu do czynienia z asymetrycznym kontraktem, w którym państwo sprawnie mobilizuje obywatela, ale zawodzi w zapewnieniu mu opieki. Wojna nie jest darmowa. Jest płatna później, okupiona dłuższym cierpieniem.

Koniec iluzji: dlaczego państwo musi płacić za wojnę od razu

Propozycja reformy, o której mowa, stanowi w swej istocie próbę odbudowy zerwanego związku republikańskiego między władzą, ofiarą a świadomą zgodą rządzonych. Drugi blok zmian, koncentrujący się na losie weteranów, niesie ze sobą jeszcze większy ładunek moralny, ponieważ bezlitośnie obnaża asymetryczny kontrakt państwa z własnym żołnierzem. Asymetryczny kontrakt, czyli relacja, w której państwo sprawnie mobilizuje obywatela do walki, ale zawodzi w zapewnieniu mu opieki po powrocie, staje się tu centralnym punktem oskarżenia. Instytucje bywają bowiem zdumiewająco sprawne w procesie pozyskiwania młodego ciała na potrzeby frontu, a jednocześnie tragicznie niewydolne, gdy należy uznać oczywisty związek między służbą a późniejszym cierpieniem. W tym kontekście postulat odwrócenia ciężaru dowodu oraz wprowadzenie domniemania kwalifikowalności świadczeń dla urazów zdiagnozowanych tuż po zakończeniu służby jawi się jako elementarny wymóg sprawiedliwości.

W przeciwnym razie państwo zaczyna zachowywać się jak cyniczny podmiot, który najpierw wysyła człowieka w strefę ekstremalnego ryzyka, a następnie żąda od niego niemożliwego, papierowego

dowodu na to, że eksplozja rzeczywiście wybuchła. Trudno o bardziej jaskrawy przykład biurokratycznej deprawacji rozumu instytucjonalnego, która przedkłada procedurę nad ludzkie życie. Współczesna skala roszczeń oraz wydatków Departamentu Spraw Weteranów (VA) jedynie potwierdza, jak rozległe i zaniedbane było to pole publicznej odpowiedzialności przez całe dekady. W samym 2024 roku program świadczeń emerytalno-rentowych VA wypłacił ponad 173 miliardy dolarów, co pokazuje realny wymiar zobowiązań zaciągniętych na polach bitew. Choć backlog roszczeń, czyli kolejka spraw oczekujących na rozpatrzenie, uległ zmniejszeniu, to wciąż pozostaje on palącym wyzwaniem systemowym, z którym państwo nie potrafi się w pełni uporać.

Nie jest zatem dziełem przypadku, że autorzy domagali się traktowania opieki medycznej dla weteranów jako trwałego uprawnienia ustawowego (entitlement), a nie wydatku dyskrecjonalnego zależnego od bieżącej łaski polityków. Jeśli wojna jest suwerenną decyzją państwa, to leczenie jej długofalowych skutków nie może być traktowane jako uznaniowy dodatek do budżetu. Musi ono stać się obowiązkiem o randze strukturalnej, wpisanym na stałe w fundamenty funkcjonowania organizmu państwowego. Późniejsze projekcje badaczy z Brown University, wedle których opieka nad weteranami wojen po 2001 roku pochłonie do połowy stulecia astronomiczne kwoty od 2,2 do 2,5 biliona dolarów, potwierdzają siłę intuicji autorów. Wojna nie jest darmową rozrywką. Jest ona płatnością odroczoną, okupioną długotrwałym cierpieniem, co widać najwyraźniej właśnie w tych wielopokoleniowych rachunkach wystawianych przez historię.

Kto rozpoczyna konflikt zbrojny, ten nieuchronnie uruchamia finansowy mechanizm o horyzoncie czasowym sięgającym całego pokolenia, przy czym ignorowanie tego faktu świadczy o braku elementarnej odpowiedzialności. Kto nie ujmuje tych kosztów w planach od samego początku, ten w rzeczywistości nie zarządza państwem, lecz jedynie improwizuje na fundamencie cudzego cierpienia. Szczególnie interesująca w tym kontekście pozostaje propozycja utworzenia odrębnego, zamkniętego funduszu powierniczego, który miałby finansować przyszłe świadczenia i leczenie weteranów. Z punktu widzenia ekonomii publicznej oznaczałoby to wbudowanie realnego kosztu wojny w sam moment podejmowania decyzji o jej rozpoczęciu. Byłoby to skuteczne narzędzie przeciwko zjawisku, jakim jest księgowość zaciemniająca, czyli systemowe zawężanie raportowanych wydatków wojennych i przesuwanie strat między różnymi bilansami państwowymi.

Z perspektywy etyki politycznej taki fundusz stanowiłby akt zerwania z haniebną praktyką, w której państwo najpierw konsumuje militarną korzyść, a dopiero potem, gdy media przestaną patrzeć, zaczyna się targować o koszt protez. Trudno o bardziej wymowny test prawdomówności instytucji publicznych wobec własnych obywateli i ich rodzin. Albo państwo odkłada środki na przyszłe skutki własnych decyzji już dzisiaj, albo otwarcie przyznaje, że finansuje swój geopolityczny heroizm kredytem społecznym zaciągniętym u cudzych dzieci. Reforma zrównująca prawa Gwardii

Narodowej i Rezerwy z uprawnieniami żołnierzy służby czynnej również nie straciła nic ze swojej pierwotnej trafności. Gdy państwo korzysta z ich gotowości w warunkach niemal identycznych ryzyk operacyjnych, a potem różnicuje dostęp do świadczeń, nie tworzy ono finezyjnej gradacji statusów.

W rzeczywistości państwo buduje wtedy hierarchię godności, co w systemie republikańskim powinno być uznane za postawę całkowicie nie do obrony. Instytucje mogą oczywiście różnicować role i zadania poszczególnych formacji, ale nie mają prawa różnicować wartości ofiary, gdy ta materializuje się w kalectwie, traumie i trwałej utracie sprawności. Równie potrzebna pozostaje idea powołania niezależnego rzecznika praw weteranów, który mógłby skutecznie reprezentować ich interesy w starciu z bezdusznym aparatem. Wielkie biurokracje bardzo często nie są jawnie złe, lecz bywają proceduralnie obojętne, co stanowi jeden z najbardziej okrutnych sposobów działania nowoczesnego państwa. Proceduralna obojętność, gdy dotyka człowieka zmagającego się z ciężkim urazem, staje się barierą nie do przebycia, potęgując poczucie osamotnienia i krzywdy.

Jeśli system dokumentacji i rozpoznawania roszczeń bywa skomplikowany nawet dla osoby w pełni zdrowej, to dla cierpiącego na PTSD, TBI czy chroniczny ból staje się on instrumentem wtórnego skrzywdzenia. W tym sensie postulat uproszczenia formularzy, procedur oraz progów kwalifikacyjnych nie jest jedynie administracyjnym upiększeniem rzeczywistości. To rozpaczliwa próba powstrzymania mechanizmu, w którym człowiek uratowany z pola walki wpada w drugą wojnę, tym razem prowadzoną już nie z przeciwnikiem, lecz z własnym państwem. Współczesne dane o skali świadczeń i długofalowych zobowiązań pokazują, że problem ten nie był jedynie chwilowym skandalem epoki Walter Reed. Była to trwała właściwość systemu, który zbyt długo nie traktował przejścia od statusu żołnierza do statusu weterana jako jednego, nieprzerwanego obowiązku publicznego.

Ostatnia z kluczowych reform, dotycząca zdecydowanego zwiększenia wsparcia edukacyjnego, odsłania jeszcze głębszy, niemal egzystencjalny wymiar całego projektu Stiglitza i Bilmes. W tym przypadku chodzi o coś znacznie więcej niż tylko finansową kompensację poniesionych strat. Chodzi o mozolną odbudowę trajektorii życia, którą wojna brutalnie przerwała, odbierając zdrowie, ciągłość kariery oraz zdolność do budowania trwałych relacji. Program edukacyjny, jeśli jest dobrze finansowany, nie jest zwykłym dodatkiem socjalnym, lecz potężnym narzędziem reintegracji obywatelskiej. Pozwala on przekształcić powrót z frontu z bolesnego, egzystencjalnego pęknięcia w trudny, lecz możliwy proces rekonstytucji osoby i jej pozycji w społeczeństwie. Państwo, które nie oferuje takiej ścieżki, de facto ogranicza swoją rolę do administrowania ruiną ludzkiego losu.

Państwo, które taką ścieżkę zapewnia, uznaje tym samym, że zobowiązanie wobec weterana nie kończy się na protezie i comiesięcznym przelewie renty. Obejmuje ono także przywrócenie

sprawczości, przy czym dopiero wtedy odsłania się pełny, głęboki sens wszystkich osiemnastu rekomendacji zawartych w raporcie. Nie są one jedynie zbiorem odrębnych, technicznych poprawek, lecz stanowią zwartą i spójną filozofię państwa po doświadczeniu wojny źle policzonej. Ich wspólna zasada brzmi następująco: wojna ma przestać być politycznie tania dzięki temu, że jest księgowo niepełna i społecznie rozproszona. Ma ona na powrót stać się decyzją, której ciężar jest widoczny od razu, a której skutki dla żołnierza są planowane z góry, a nie dopiero po fakcie.

To jest program radykalny wyłącznie dla tych, którzy przez lata przywykli uważać iluzję darmowej wojny za stan normalności. Złudzenie darmowej wojny, czyli przekonanie społeczeństwa, że konflikt zbrojny nie wiąże się z bezpośrednim obciążeniem, pozwala politykom na angażowanie się w awantury bez realnej zgody rządzonych. Dla każdego poważnego i uczciwego państwa zaproponowane reformy powinny stanowić absolutne minimum przyzwoitości. To prowadzi nas bezpośrednio do kwestii strategii wyjścia, a właściwie do intelektualnych złudzeń, które zwykle blokują zakończenie konfliktu już przegranego na wielu poziomach. Stiglitz i Bilmes trafnie rozpoznali trzy wielkie miraże, które mamią decydentów i opinię publiczną w chwilach kryzysu.

Pierwszy miraż dotyczy wiarygodności, bowiem politycy lubią twierdzić, że wyjście przed ogłoszeniem pełnego zwycięstwa nieuchronnie zniszczy autorytet państwa na arenie międzynarodowej. Problem polega jednak na tym, że uporczywe przeciąganie katastrofy rzadko buduje wiarygodność, a zazwyczaj jedynie drastycznie zwiększa jej ostateczny koszt. Im dłużej państwo tkwi w konflikcie, którego nie potrafi zamknąć na akceptowalnych warunkach, tym bardziej jego niekompetencja staje się widoczna dla wszystkich obserwatorów. Drugi miraż to oczywiście koszt utopiony, czyli błąd poznawczy polegający na uzasadnianiu dalszych inwestycji w nieudane przedsięwzięcie jedynie ze względu na już poniesione straty. Argument, że nie wolno wyjść, bo tylu już zginęło, jest wzruszający wyłącznie dla tych, którzy mylą pamięć o poległych z racjonalnym rachunkiem decyzyjnym.

Przeszła strata nie jest inwestycją, którą można odzyskać poprzez dokładanie nowych strat i poświęcanie kolejnych istnień ludzkich. Trzeci miraż dotyczy obowiązku naprawy, przy czym w tej kwestii autorzy analizy pozostają całkowicie bezlitośni dla zwolenników kontynuowania interwencji. Sama obecność okupacyjna, jeśli generuje nowe bodźce do buntu, nie jest neutralnym tłem dla odbudowy kraju, lecz może stać się czynnikiem dalszego rozpadu. Z tego punktu widzenia przeciąganie interwencji nie leczy wyrządzonej szkody, lecz jedynie ją reprodukuje w coraz to nowych formach. Współczesna recepcja naukowa nie odwróciła tej logiki, a wręcz przeciwnie, ogrom badań nad konsekwencjami wojen po 2001 roku jeszcze mocniej akcentuje długi cień błędnych decyzji.

Każdy dodatkowy miesiąc wojny to nie tylko bieżący koszt operacyjny, lecz także nowa porcja przyszłych świadczeń, nowe ryzyka psychiczne i nowe odsetki od długu publicznego. Ekonomia i strategia spotykają się w jednym, tragicznym punkcie, gdzie czas trwania konfliktu sam w sobie staje się mnożnikiem klęski. Na tle dzisiejszych debat, również tych toczących się w Polsce wokół bezpieczeństwa i przemysłu obronnego, trzeba powiedzieć rzecz nieprzyjemną, ale konieczną. Krytyka księgowości wojennej nie jest postawą pacyfistyczną w naiwnym sensie, ani odmową uznania realności istniejących zagrożeń. Jest to raczej twarde żądanie, by państwo, jeśli już sięga po przemoc zbrojną, było zmuszone ujawnić jej pełny bilans, a nie tylko część wygodną dla kampanii.

Wojna nie jest autonomiczną kategorią wojskowości, lecz wydarzeniem totalnym, które przenika rynek ropy, prawo budżetowe, system świadczeń i psychikę rodzin. Wtórne zaburzenia gospodarcze, czyli pośrednie skutki wojny, takie jak wzrost cen energii czy inflacja, pokazują, że konflikt działa jak ukryty podatek nałożony na całe społeczeństwo. Kto liczy tylko pocisk, nie rozumie konfliktu. Wojna w Iraku nie była po prostu kosztowną pomyłką, lecz stała się szkołą instytucjonalnego kamuflażu, w której państwo uczyło się oddzielać decyzję od rachunku. Osiemnaście reform Stiglitza i Bilmes to próba zerwania z tą szkołą i przywrócenia uczciwości w relacjach między władzą a obywatelem.

Dlatego ich projekt pozostaje żywy nie jako relikt sporu o administrację Busha, lecz jako uniwersalny podręcznik nieufności wobec każdego państwa, które chce wojny bez teraźniejszego kosztu. Jest to polityczny mechanizm ukrywania kosztów, z którym musimy się mierzyć przy każdym kolejnym kryzysie międzynarodowym. Błędem komentatorów bywa niekiedy przesadne skupienie na froncie w sensie dosłownym, przez co widzą oni mapę operacyjną, a nie widzą mapy przepływów kapitału. Widzą kolumnę wojsk, a nie widzą kolumny cen, które za tymi wojskami nieuchronnie podążają w budżetowych zestawieniach. Tymczasem wojna nowoczesna, zwłaszcza ta finansowana długiem, wywołuje falę wtórnych przemieszczeń gospodarczych, fiskalnych i normatywnych, których nie da się zignorować. Stiglitz i Bilmes widzieli to z wyjątkową ostrością, dlatego ich analiza nie była jedynie księgowością konfliktu, lecz głęboką diagnozą kondycji nowoczesnego państwa.

Wojenna pułapka: jak konflikt kolonizuje przyszłe budżety

Joseph Stiglitz postrzegał wojnę w Iraku nie jako izolowany błąd w sztuce dyplomatycznej, lecz jako wielowymiarowy proces destrukcji terytorialnej, redystrybucji geoekonomicznej i osłabienia instytucjonalnego USA. Był to swoisty akcelerator kosztów, które powracały do społeczeństwa

okrężną drogą, często poprzez mechanizmy księgowości zaciemniającej, czyli systemowego zawężania raportowanych wydatków i przesuwania strat między bilansami państwowymi. Późniejsze, wieloletnie badania projektu Costs of War jedynie utwardziły tę intuicję, ukazując, jak głęboko i nieodwracalnie konflikt ten przeorał amerykańską architekturę finansową. Łączny koszt wojen prowadzonych po 11 września szacuje się dziś na oszałamiające osiem bilionów dolarów, przy czym samo przyszłe utrzymanie weteranów ma pochłonąć do połowy stulecia od 2,2 do 2,5 biliona. Wojna w Iraku nie jawi się tu jako incydent oderwany od globalnej ekonomii, lecz jako jeden z kluczowych mechanizmów przebudowy obiegu kapitału i ryzyka. Wojna na kredyt jest dla elit kusząca nie dlatego, że jest ekonomicznie rozsądna, lecz dlatego, że jest politycznie znieczulająca.

Szczególnie istotnym elementem tej układanki był szok energetyczny, który Stiglitz słusznie identyfikował jako bezpośrednią pochodną destabilizacji Bliskiego Wschodu i Zatoki Perskiej. Choć rynki energii reagują na splot wielu czynników jednocześnie, od cykli koniunkturalnych po czystą spekulację, fundamentalna zasada pozostaje nienaruszalna: wojna w regionie będącym energetycznym węzłem świata generuje wtórne zaburzenia gospodarcze. Są to pośrednie skutki konfliktu, takie jak gwałtowny wzrost cen ropy czy inflacja, które działają jak rozproszony, ukryty podatek nakładany na każdego importera surowców i każde gospodarstwo domowe. Współczesne analizy geoekonomiczne, opisujące rywalizację między Rijadem a Teheranem, potwierdzają tę logikę, wskazując na rolę cieśniny Ormuz, polityki OPEC+ oraz gospodarki sankcyjnej. To dokładnie ten sam porządek myślenia, który Stiglitz stosował do Iraku, tyle że dziś dysponujemy jeszcze bogatszym materiałem empirycznym. Wojna w takim miejscu nie jest kosztem lokalnym, lecz mechanizmem rozpraszającym wstrząs po całej architekturze wymiany międzynarodowej.

Kiedy cena baryłki szybuje w górę, przedsiębiorstwa w krajach importujących muszą przeznaczać lwią część dochodu na energię i transport, co drastycznie osłabia popyt na inne dobra i pogarsza nastroje inwestycyjne. Jednocześnie wyższe ceny surowców, paradoksalnie, wzmacniają pozycję tych eksporterów, których interesy geopolityczne są jawnie sprzeczne z dążeniami Zachodu. W tym sensie wojna może stać się narzędziem wzmacniania przeciwnika, co autorzy "Wojny za trzy biliony dolarów" dostrzegali już w kontekście rosnących wpływów Iranu oraz Rosji. Państwo, które wydaje fortunę na konflikt, a następnie przez jego skutki zwiększa dochody swoich rywali surowcowych, zachowuje się jak ktoś, kto podpala własny dom, by ogrzać sąsiada. To nie jest tylko subtelna ironia historii, lecz twarda ironia zaksięgowana w bilansie światowym, która obciąża przyszłe pokolenia. Makroekonomiczny rdzeń argumentu Stiglitza pozostaje nowoczesny także dlatego, że autor nie pytał tylko o to, ile wydano, lecz przede wszystkim – czego przez to nie zbudowano.

Tu wkracza kategoria kosztu alternatywnego, czyli wartości korzyści, z których państwo rezygnuje, przeznaczając środki na armaty zamiast na szkoły, drogi czy innowacje. Każdy miliard wydany na

konflikt to nie tylko pieniądz, który bezpowrotnie wyparował, lecz miliard, który nie zasilił edukacji, transformacji energetycznej czy badań nad nowymi technologiami. Projekt Costs of War pokazuje skalę tego problemu poprzez samą sumę odsetek od zadłużenia zaciągniętego na wojny po 11 września, która przekroczyła już bilion dolarów. Finansowanie operacji militarnych długiem zamiast bieżącym opodatkowaniem tworzy złudzenie darmowej wojny, pozwalając politykom na angażowanie się w konflikty bez uzyskania realnej zgody rządzonych na poniesienie kosztów. To nie są tylko suche liczby o przeszłości, lecz opis utraconej przestrzeni rozwojowej, która drastycznie zawęża przyszłą suwerenność fiskalną państwa. Wojna finansowana kredytem nie znika z rachunku po podpisaniu traktatu pokojowego; ona kolonizuje przyszłe budżety na dekady.

Istnieje jeszcze drugi, bardziej subtelny poziom skutków makroekonomicznych, dotyczący zaburzenia jakości inwestycji i zdolności państwa do wywiązywania się z umów społecznych. Pojawia się tu asymetryczny kontrakt, czyli relacja, w której państwo sprawnie mobilizuje obywatela do walki, ale zawodzi w zapewnieniu mu godnej opieki po powrocie z frontu. Stiglitz trafnie podważał zakorzeniony mit, jakoby wojna była zbawienna dla gospodarki poprzez stymulowanie popytu i tworzenie miejsc pracy, co jest klasycznym błędem mylenia aktywności z produktywnością. Owszem, wojna uruchamia strumień kontraktów i zamówień, ale nie tworzy ona proporcjonalnie takiego zasobu dóbr cywilnych, jaki stworzyłyby inwestycje w naukę, energetykę czy ochronę zdrowia. Politycy sprzedają obietnicę, a społeczeństwo dostaje subskrypcję bez opcji anulowania, płacąc za aktywność o bardzo wątpliwej jakości reprodukcyjnej. Wojna nakręca obrót, lecz znacznie słabiej buduje trwałe fundamenty przyszłej produktywności, co czyni ją formą systemowego marnotrawstwa. Brakuje nie pieniędzy. Brakuje hierarchii celów.

Irak jako ruina: fiasko modernizacji i geopolityczny paradoks

Problem nabiera ostrości, gdy porzucimy perspektywę Waszyngtonu i spojrzymy na sam Irak, gdzie książka Stiglitza i Bilmes przestała być jedynie suchą krytyką amerykańskiej rachunkowości. Stała się ona bowiem aktem oskarżenia wobec specyficznej fantazji modernizacyjnej, zakładającej naiwnie, że suwerenne państwo można rozerwać siłą, a następnie poskładać przy użyciu wolnorynkowej instrukcji obsługi. Irak po inwazji stanowi dziś jeden z najbardziej drastycznych dowodów na to, że terapia szokowa, czyli gwałtowna transformacja gospodarcza oparta na nagłej deregulacji, nie buduje automatycznie liberalnego ładu. Zamiast obiecanej stabilizacji otrzymaliśmy gospodarkę ruin, w której rozpad aparatu bezpieczeństwa stał się fundamentem dla trwałego

bezrobocia i systemowej przemocy. To nie był błąd w obliczeniach, lecz fundamentalna pomyłka w ocenie dynamiki społecznej.

Analizując logikę rywalizacji saudyjsko-irańskiej, można zauważyć, że Irak błyskawicznie przeobraził się w przestrzeń wojen zastępczych oraz brutalnych interwencji milicyjnych. Ta perspektywa idealnie uzupełnia tezę Stiglitza, pokazując, że ruina kraju nie była wyłącznie pochodną błędów ekonomicznych popełnionych przez technokratów. Była ona raczej wynikiem fatalnego sprzężenia zwrotnego między nieudolną przebudową instytucjonalną a bezwzględną regionalną logiką walki o hegemonię w próżni po obalonym reżimie. W tym układzie sił każda próba stabilizacji stawała się paliwem dla kolejnych konfliktów o wpływy i zasoby. Można powiedzieć, że politycy sprzedają zwiastun, a społeczeństwo dostaje subskrypcję bez opcji anulowania.

Warto zatrzymać się przy samym pojęciu ruiny, które w dyskursie publicznym bywa używane zbyt lekko, niemal w charakterze dekoracyjnej metafory. Tymczasem w irackim kontekście ruina posiadała bardzo konkretną strukturę, oznaczającą śmierć setek tysięcy ludzi oraz masowe, traumatyczne przesiedlenia całych grup etnicznych. Wiązała się ona z fizycznym zniszczeniem infrastruktury, rozpadem klasy średniej oraz exodusem specjalistów, którzy stanowili kręgosłup państwowości. Upadek systemów zaopatrzenia i załamanie ochrony zdrowia stworzyły środowisko, w którym przemoc przestała być anomalią, stając się racjonalną ścieżką przetrwania. W takich warunkach kapitał normatywny, czyli zasób zaufania do mocarstwa jako lidera przestrzegającego prawa międzynarodowego, wyparował niemal natychmiast.

Dane płynące z projektu Costs of War są w tym względzie bezlitosne i pokazują, że wojny w Iraku i Syrii pochłonęły już ponad pół miliona istnień. Do 2050 roku operacje te obciążą budżet kwotą około 2,89 biliona dolarów, co uwzględnia gigantyczne wydatki na długofalową opiekę nad weteranami. Asymetryczny kontrakt, czyli relacja, w której państwo sprawnie mobilizuje obywatela do walki, ale zawodzi w zapewnieniu mu wsparcia po powrocie, staje się tu bolesną rzeczywistością. Te liczby pozwalają umieścić przypadek Iraku w szerszym kontekście ludzkiego pęknięcia, które amerykańska machina wojenna współtworzyła przez dekady. Wojna nie jest darmowa. Ona wymaga zapłaty później i niesie ze sobą długotrwałe cierpienie.

Przy zachowaniu niezbędnej ostrożności metodologicznej trzeba przyznać, że dokładna liczba irackich ofiar cywilnych wciąż pozostaje przedmiotem zażartych sporów badawczych. Szacunki różnią się znacząco w zależności od przyjętej definicji ofiar pośrednich oraz zakresu czasowego prowadzonej analizy statystycznej. To właśnie jeden z powodów, dla których uczciwa analiza konfliktu musi sygnalizować niepewność tam, gdzie pełna precyzja matematyczna jest po prostu niemożliwa. Ta niepewność nie działa jednak na korzyść apologetów interwencji, lecz uderza

bezpośrednio w ich argumentację. Księgowość zaciemniająca, czyli systemowe zawężanie raportowanych strat i kosztów, sprawiła, że sam aparat wiedzy o konflikcie został trwale uszkodzony. Wojna zniszczyła nie tylko dobra materialne, ale także infrastrukturę dowodową potrzebną do jej rzetelnego rozliczenia.

Jedną z najbardziej przenikliwych intuicji Stiglitza było wskazanie, że okupacja nie tylko walczy z rebelią, ale wręcz aktywnie produkuje jej podaż. Takie myślenie jest kluczowe, ponieważ rozsadza naiwny, linearny model wojny, w którym wyeliminowanie jednego przeciwnika przybliża nas do ostatecznego zwycięstwa. W rzeczywistości irackiej zagraniczna obecność militarna oraz rozwiązanie armii stworzyły środowisko, w którym opór stał się dla wielu jedyną logiczną odpowiedzią. Bunt był zatem zjawiskiem endogenicznym, wpisanym w samą architekturę okupacji i wynikającym z poczucia głębokiego poniżenia społecznego. Dziś ta obserwacja wydaje się banalna, ale stała się taka tylko dlatego, że rzeczywistość wielokrotnie ją potwierdziła. Stiglitz miał rację znacznie wcześniej, niż chciała to przyznać jakakolwiek oficjalna strategia.

Współczesna perspektywa portalu Dobre Państwo uświadamia nam dodatkowo, że na Bliskim Wschodzie próżnia władzy nigdy nie pozostaje pusta przez dłuższy czas. Natychmiast staje się ona obiektem penetracji przez mocarstwa regionalne, sieci religijne oraz zewnętrznych sponsorów finansowych. W takim krajobrazie siły okupacyjne przestają być neutralnym zarządcą chaosu, stając się jedynie kolejnym uczestnikiem złożonej gry o legitymizację. Irak po 2003 roku stanowi książkowy przykład takiej przemiany, wzmacniając zdolność Iranu do oddziaływania w całym regionie. Konflikt rozpoczynany w imię bezpieczeństwa doprowadził ostatecznie do erozji pozycji globalnej USA i drastycznego spadku ich wiarygodności. Kto liczy tylko pociski, nie rozumie konfliktu.

Wojna jako dług: jak mocarstwa oszukują samych siebie

Skandale związane z torturami, arbitralnym przetrzymywaniem więźniów oraz spektakularną katastrofą planistyczną w Iraku trwale podważyły wiarygodność Stanów Zjednoczonych jako globalnego strażnika praworządności. Ta erozja kapitału normatywnego, czyli zasobu zaufania i wiarygodności mocarstwa jako lidera przestrzegającego prawa międzynarodowego, ma znaczenie znacznie głębsze, niż skłonni są przyznać zwolennicy twardej siły militarnej. W świecie nękanym przez złożone kryzysy, od bezpieczeństwa energetycznego po zerwane łańcuchy dostaw, mocarstwo potrzebuje do skutecznego działania nie tylko grup lotniskowców, ale przede wszystkim autentycznego zaufania partnerów. Wojna w Iraku zadziałała w tym kontekście jak brutalne

samookaleczenie wizerunkowe, którego skutki odczuwamy do dziś w relacjach z globalnym Południem. Waszyngton wydał na tę operację nie tylko gigantyczne środki finansowe, ale również znaczną część swojego moralnego autorytetu, którego nie da się odtworzyć w kolejnym roku budżetowym. Brakuje nie pieniędzy. Brakuje hierarchii celów.

Wojna w Iraku nie tylko wydrenowała zasoby z kluczowych inwestycji krajowych, ale przede wszystkim odciągnęła uwagę strategiczną od innych, znacznie groźniejszych pól bezpieczeństwa narodowego. W obszernych opracowaniach projektu Costs of War jednym z powracających motywów jest teza, że konflikty po 11 września wygenerowały gigantyczne koszty alternatywne na poziomie polityki zagranicznej. Skupienie niemal wszystkich zasobów wywiadowczych i militarnych na jednym teatrze działań drastycznie ograniczyło zdolność reakcji wobec rosnących zagrożeń w innych regionach świata. Dla poważnego analityka koszt wojny nigdy nie ogranicza się do bezpośredniego bilansu strat na polu bitwy, lecz obejmuje także to, czego państwo zaniechało. Jest to polityczny mechanizm ukrywania kosztów, gdzie doraźne zaangażowanie maskuje długofalowy paraliż decyzyjny w sprawach o znaczeniu egzystencjalnym.

Joseph Stiglitz miał odwagę pisać o nadchodzącej katastrofie humanitarnej i gospodarczej w czasie, gdy większość komentatorów wciąż posługiwała się eufemistycznym językiem przejściowych trudności transformacyjnych. Irak po inwazji stał się bolesnym dowodem na to, że samo obalenie dyktatury nie wystarcza do stworzenia stabilnego ładu bez wiarygodnej instytucjonalnej matrycy odbudowy. Decyzja o rozwiązaniu armii oraz aparatu państwowego, połączona z gwałtowną deregulacją i brakiem ochrony lokalnego rynku, stworzyła mieszankę politycznie wybuchową i ekonomicznie samobójczą. Wysokie bezrobocie wśród młodych mężczyzn przestało być jedynie suchym wskaźnikiem statystycznym, stając się paliwem dla rebelii i zasobem mobilizacyjnym dla organizacji terrorystycznych. Stiglitz dostrzegł ten nierozerwalny związek między rozkładem gospodarki a eskalacją przemocy znacznie wcześniej niż generałowie odpowiedzialni za pacyfikację kraju. Jego analiza pozostaje cenna, ponieważ nie redukuje wojny do starcia kinetycznego, lecz ujmuje ją jako proces gwałtownego rozkładu bodźców społecznych.

W swojej argumentacji Stiglitz i Bilmes wyjątkowo skutecznie rozbijają trzy klasyczne złudzenia, które od dekad karmią wyobraźnię polityków uwikłanych w przedłużające się konflikty zbrojne. Pierwszym z nich jest złudzenie wiarygodności, wedle którego wycofanie się z przegranej pozycji ośmiela przeciwnika bardziej niż trwanie w ewidentnej i kosztownej klęsce. Kolejne to złudzenie śmierci na próżno, czyli ekonomicznie błędne wykorzystywanie kosztów utopionych jako argumentu za dalszym poświęcaniem życia żołnierzy w imię błędnych założeń. Ostatnim elementem tej triady jest złudzenie naprawy przez kontynuację, zakładające, że przedłużona okupacja nagle zacznie przynosić rezultaty odwrotne do tych, które generowała przez lata. Te

pojęcia stanowią dziś fundament aparatu pojęciowego do analizy wojen prowadzonych z powodów reputacyjnych, biograficznych czy czysto politycznych. Wojna na kredyt jest dla elit kusząca nie dlatego, że jest ekonomicznie rozsądna, lecz dlatego, że jest politycznie znieczulająca.

Warto w tym miejscu dopowiedzieć coś, co często umyka uwadze ekspertów skupionych wyłącznie na twardych danych makroekonomicznych i przepływach kapitału. Problem agencji w polityce wojennej nie polega jedynie na tym, że decydenci popełniają błędy, lecz na tym, że nie ponoszą ich kosztów. Pojawia się tu asymetryczny kontrakt, czyli relacja, w której państwo sprawnie mobilizuje obywatela do walki, ale zawodzi w zapewnieniu mu opieki po powrocie z frontu. Prezydent nie traci zdrowia, doradca nie traci małżeństwa przez traumę, a architekt wojny nie musi latami walczyć o podstawowe świadczenia medyczne. Ta asymetria walut odpowiedzialności sprawia, że demokracja pozbawiona mechanizmów jawnego ujmowania pełnych kosztów wojny tak łatwo wpada w pułapkę eskalacji zaangażowania. Elity płacą jedynie ulotną reputacją, podczas gdy reszta społeczeństwa płaci życiem, zdrowiem i wielopokoleniowym długiem.

Wojna w Iraku była nie tylko błędem strategicznym o kolosalnej skali, ale przede wszystkim lekcją o granicach nowoczesnej pychy mocarstwowej. Chodzi o pychę, która naiwnie wierzy, że skomplikowany organizm państwowy można rozmontować przemocą, a następnie złożyć z importowanych, nieprzystających do lokalnej kultury instytucji. To również pycha ekonomiczna, zakładająca, że rynek zaakceptuje każdą formę marnotrawstwa, jeśli tylko nada się jej etykietę walki o bezpieczeństwo narodowe. Taki sposób myślenia myli przepływ wydatków z realną produkcją dobrobytu, a brutalną okupację z procesem demokratycznej odbudowy struktur społecznych. W tym sensie praca Stiglitza i Bilmes nie jest jedynie monografią o Iraku, lecz uniwersalnym traktatem o tym, jak mocarstwo potrafi oszukać samo siebie. Wykorzystuje do tego niepełne liczby, strategie autoiluzji oraz koszty odroczone, które ostatecznie spadają na barki przyszłych pokoleń.

Dzisiaj, gdy dane z Brown University wskazują na ośmiobilionowy koszt wojen po 11 września, nie sposób twierdzić, że krytyka Stiglitza była w jakikolwiek sposób przesadzona. Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej ponura i posłuszna pesymistycznym intuicjom autorów, niż chcieliby to przyznać dawni entuzjaści interwencji zbrojnych. Błędem wielu komentatorów jest przesadne skupienie na mapie operacyjnej, przy jednoczesnym ignorowaniu mapy przepływów finansowych i struktury ryzyka w systemie światowym. Widzą oni obalenie reżimu jako sukces, nie dostrzegając, że wojna finansowana długiem wywołuje falę wtórnych przemieszczeń gospodarczych i fiskalnych. Stiglitz i Bilmes widzieli to z wyjątkową ostrością, dlatego ich analiza nie była jedynie suchą księgowością konfliktu, lecz głęboką diagnozą systemową. Pokazali, że wojna w Iraku była jednocześnie destrukcją terytorialną, redystrybucją geoekonomiczną oraz akceleratorem kosztów powracających do społeczeństwa okrężną drogą.

Szczególnie istotnym elementem tej układanki był szok energetyczny, który Stiglitz słusznie wiązał z destabilizacją całego regionu Bliskiego Wschodu. Destabilizacja Iraku zwiększyła premię za ryzyko na rynkach światowych, co działało jak wtórne zaburzenie gospodarcze, czyli pośrednie skutki wojny, takie jak wzrost cen energii czy inflacja. Choć rynek energii reaguje na wiele czynników jednocześnie, sama zasada wpływu konfliktu na koszty frachtu i ryzyko handlowe pozostaje nienaruszalna. Współczesne analizy potwierdzają tę logikę, wskazując na rolę polityki OPEC+ i wojen zastępczych jako czynników obciążających bilanse płatnicze państw leżących daleko poza regionem walk. Wojna w energetycznym węźle świata nigdy nie jest kosztem lokalnym, lecz mechanizmem rozpraszającym wstrząsy po całej architekturze wymiany międzynarodowej. To jest właśnie moment, w którym politycy sprzedają obietnicę, a społeczeństwo dostaje zobowiązanie bez opcji anulowania.

Kiedy cena ropy rośnie w wyniku niepokojów w Zatoce Perskiej, gospodarstwa domowe w krajach importujących muszą przeznaczać większą część dochodu na energię i transport. To zjawisko drastycznie zmniejsza popyt na inne dobra, osłabia wzrost gospodarczy i tworzy dodatkową, często niewidoczną na pierwszy rzut oka presję fiskalną. Jednocześnie wyższe ceny surowców paradoksalnie wzmacniają pozycję tych eksporterów, których interesy geopolityczne są sprzeczne z dążeniami Zachodu. Państwo, które wydaje fortunę na konflikt, a następnie przez jego skutki zwiększa dochody swoich przeciwników, zachowuje się jak ktoś, kto podpala własny dom, by ogrzać sąsiada. To nie jest subtelna ironia historii, lecz twarda ironia zaksięgowana w bilansie światowym, której nie da się wymazać propagandowymi hasłami. Makroekonomiczny rdzeń argumentu Stiglitza pozostaje nowoczesny, ponieważ autor nie pytał tylko o to, ile wydano, ale przede wszystkim o to, czego przez to nie zbudowano.

Właśnie tutaj pojawia się kategoria kosztu alternatywnego, czyli wartości korzyści, z których państwo rezygnuje, przeznaczając środki na wojnę zamiast na inwestycje rozwojowe. Każdy miliard wydany na pociski to miliard, który nie zasilił systemu edukacji, infrastruktury transportowej, nowoczesnych badań naukowych czy transformacji energetycznej. Ponad bilion dolarów wydany na same odsetki od zadłużenia wojennego to opis utraconej przestrzeni rozwojowej dla przyszłych pokoleń Amerykanów. Deficyt wojenny nie jest instrumentem neutralnym, ponieważ prowadzi do wypychania wydatków publicznych i drastycznie ogranicza pole manewru w momentach późniejszych kryzysów cywilnych. Wojna finansowana kredytem nie znika z rachunku po podpisaniu traktatu pokojowego, lecz kolonizuje przyszłe budżety państwa na dziesięciolecia. Wojna nie jest darmową rozrywką. Jest płatna później, a skutki odczuwa się znacznie dłużej.

Bardzo ważny jest również poziom skutków makroekonomicznych związany z zaburzeniem jakości inwestycji publicznych i prywatnych w czasie trwania konfliktu. Stiglitz trafnie podważał szkodliwy

mit, jakoby wojna była dobra dla gospodarki, ponieważ rzekomo pobudza popyt i tworzy nowe miejsca pracy. Taki argument w sposób fundamentalny myli chwilową aktywność z długofalową produktywnością, która jest jedynym trwałym źródłem bogactwa narodów. Owszem, wojna uruchamia strumień kontraktów zbrojeniowych, ale nie tworzy zasobu dóbr cywilnych o wysokiej zdolności do generowania przyszłych zysków społecznych. Z ekonomicznego punktu widzenia wydatki wojenne są formą marnotrawstwa, ponieważ nakręcają obrót pieniądza, ale nie budują fundamentów pod trwały wzrost produktywności. Teza ta znajduje dziś mocne oparcie w nowszych opracowaniach, które demaskują księgowość zaciemniającą, czyli praktykę systemowego zawężania raportowanych wydatków w celu ukrycia faktycznej skali zadłużenia państwa.

Irak jako ruina: klęska modernizacji i koszty okupacji

Problem staje się jaskrawy, gdy porzucimy perspektywę Waszyngtonu i spojrzymy bezpośrednio na iracki grunt. Książka Stiglitza i Bilmes nie była jedynie suchą korektą amerykańskiej buchalterii, lecz fundamentalnym aktem oskarżenia wobec specyficznej modernizacyjnej fantazji. Zakładała ona, że suwerenne państwo można rozebrać siłą na części pierwsze, a następnie złożyć z powrotem, korzystając z wolnorynkowej instrukcji obsługi dołączonej do zestawu. Rzeczywistość okazała się brutalnym weryfikatorem tej teorii, dowodząc, że terapia szokowa połączona z nagłą deregulacją i rozpadem struktur bezpieczeństwa nie rodzi liberalnego ładu. Zamiast niego otrzymaliśmy gospodarkę ruin, w której bezrobocie i przemoc stały się jedynymi stabilnymi walutami. Wojna nie jest darmowa. Ona wymaga zapłaty później i niesie ze sobą długotrwałe cierpienie.

Analiza portalu Dobre Państwo, skupiona na dynamice rywalizacji saudyjsko-irańskiej, trafnie zauważa, że Irak przestał być państwem, a stał się poligonem wojen zastępczych. Teza Stiglitza znajduje tu swoje tragiczne dopełnienie, bowiem upadek kraju nie był wyłącznie pochodną błędów ekonomicznych. Był on raczej efektem fatalnego sprzężenia nieudolnej przebudowy instytucjonalnej z bezwzględną logiką regionalnej walki o wpływy w próżni, jaka powstała po obalonym reżimie. To klasyczny przykład politycznego ukrywania kosztów, gdzie doraźne zyski polityczne przesłoniły długofalową katastrofę geopolityczną. W takim układzie sił okupacja przestaje być neutralnym zarządcą chaosu, stając się zaledwie jednym z wielu uczestników gry o legitymizację i zasoby.

Warto przy tym zdemitologizować samo pojęcie ruiny, które w dyskursie publicznym bywa używane niemal dekoracyjnie, jako synonim ogólnego nieładu. Tymczasem w Iraku ruina posiadała bardzo konkretną, bolesną strukturę społeczną oraz materialną. Oznaczała ona śmierć setek tysięcy ludzi, masowe przesiedlenia oraz systematyczne niszczenie infrastruktury krytycznej potrzebnej do

życia. To także exodus specjalistów i rozpad klasy średniej, czyli grupy, która zazwyczaj stanowi kręgosłup stabilnej i nowoczesnej państwowości. W takim środowisku przemoc przestała być patologią, a stała się racjonalną ścieżką przetrwania dla znacznej części populacji pozbawionej innych perspektyw.

Dane płynące z projektu Costs of War są porażające i pozwalają umieścić ten przypadek w szerszym pejzażu dewastacji. Szacuje się, że konflikty w Iraku i Syrii pochłonęły ponad pół miliona istnień, a do 2050 roku ich koszt budżetowy wyniesie około 2,89 biliona dolarów. Kwota ta uwzględnia nie tylko bezpośrednie operacje militarne, ale i dożywotnią opiekę nad weteranami, co jest przejawem asymetrycznego kontraktu, czyli relacji, w której państwo sprawnie mobilizuje obywatela do walki, ale zawodzi w zapewnieniu mu wsparcia po powrocie.

Perspektywa Uniwersytetu Browna rozszerza ten obraz na wszystkie wojny po 11 września, wskazując na 38 milionów przymusowo przemieszczonych osób. Choć dokładna liczba ofiar w samym Iraku pozostaje przedmiotem sporów badawczych, ta metodologiczna niepewność nie powinna działać na korzyść apologetów interwencji. Wręcz przeciwnie, wszak fakt, że po dwóch dekadach nie potrafimy precyzyjnie ustalić skali zabijania, świadczy o głębokim uszkodzeniu aparatu wiedzy o konflikcie. Wojna zniszczyła nie tylko dobra materialne i ludzi, ale także część infrastruktury dowodowej potrzebnej do jej rzetelnego rozliczenia. Uczciwa analiza musi zatem sygnalizować niepewność tam, gdzie pełna precyzja stała się niemożliwa.

Jedną z najbardziej przenikliwych intuicji Stiglitza było dostrzeżenie, że okupacja nie tylko zwalcza rebelię, ale wręcz stymuluje jej podaż. To myślenie rozsadza naiwny, liniowy model wojny, w którym eliminacja jednego przeciwnika przybliża nas do ostatecznego zwycięstwa. W irackiej rzeczywistości debaasyfikacja, rozwiązanie armii i powszechne bezrobocie stworzyły ekosystem, w którym opór zbrojny stał się dla wielu jedyną dostępną formą podmiotowości. Bunt nie był zewnętrznym wirusem, lecz zjawiskiem endogenicznym, wpisanym w samą architekturę zagranicznej obecności militarnej. Dziś ta intuicja wydaje się banalna, ale stała się taka dopiero po tragicznej weryfikacji przez fakty.

Rzeczywistość wielokrotnie potwierdziła, że w regionie Bliskiego Wschodu próżnia władzy nigdy nie pozostaje pusta. Natychmiast wypełniają ją mocarstwa regionalne, sieci religijne i milicje, dla których chaos jest naturalnym środowiskiem wzrostu i ekspansji. Stiglitz miał rację znacznie wcześniej, niż była gotowa to przyznać oficjalna strategia Pentagonu, ignorująca społeczne koszty poniżenia. W takim krajobrazie interwencja przestaje być chirurgicznym cięciem, a staje się długotrwałym procesem infekowania tkanki społecznej przemocą. Okupacja, zamiast stabilizować, produkuje kolejne warstwy niestabilności, które kolonizują przyszłość całego regionu na dekady.

Ostatecznie iracka lekcja pokazuje, że próba narzucenia odgórnego ładu bez uwzględnienia lokalnej dynamiki musi skończyć się fiaskiem. Złudzenie darmowej wojny, czyli przekonanie, że konflikt nie wiąże się z bezpośrednim obciążeniem dla społeczeństwa, pozwoliło politykom na lata kosztownych eksperymentów. Jednak prawdziwy rachunek, obejmujący wtórne zaburzenia gospodarcze i utratę kapitału normatywnego, jest wystawiany dopiero teraz. Te koszty będą spłacane przez pokolenia, które nie miały wpływu na decyzję o inwazji. Brakuje nie pieniędzy. Brakuje hierarchii celów, która pozwoliłaby uniknąć budowania przyszłości na fundamentach z gruzów.

Wojna jako samookaleczenie: lekcja pychy i utraconego autorytetu

Irak po 2003 roku stał się podręcznikowym przykładem geopolitycznego rykoszetu, w którym chirurgiczna interwencja przeobraziła się w przewlekłą chorobę całego regionu. Zamiast obiecywanego demokratycznego bastionu świat ujrzał gwałtowne wzmocnienie wpływów Iranu oraz transformację Mezopotamii w poligon dla milicji szyickich i organizacji dżihadystycznych. Na tym właśnie polega fundamentalny paradoks tej wojny: konflikt rozpoczęty w imię bezpieczeństwa USA doprowadził do erozji amerykańskiej wiarygodności i bezprecedensowego wzrostu nastrojów antyamerykańskich. Waszyngton, dążąc do przeobrażenia Bliskiego Wschodu, trwale obniżył swoją zdolność do kształtowania ładu międzynarodowego na innych, równie istotnych kierunkach. W tym sensie politycy sprzedali społeczeństwu atrakcyjną wizję stabilizacji, a w zamian obywatele otrzymali krwawe zobowiązanie bez opcji anulowania. Ostatecznie interwencja nie tylko nie zdołała uleczyć regionu, ale osłabiła pozycję Stanów Zjednoczonych jako jedynego gwaranta globalnej stabilności.

Badania prowadzone w ramach projektu Costs of War przypominają nam dobitnie, że prawdziwa cena mocarstwowych ambicji wykracza daleko poza proste zestawienia księgowe. Elity strategiczne wykazują bowiem niebezpieczną skłonność do mierzenia sukcesu wyłącznie przez pryzmat projekcji siły, ignorując przy tym gwałtowne zużycie kapitału moralnego i instytucjonalnego. Kapitał normatywny, czyli zasób zaufania i wiarygodności mocarstwa jako lidera przestrzegającego prawa międzynarodowego, okazał się w tym przypadku najbardziej deficytowym towarem. Skandale związane z torturami oraz arbitralnym przetrzymywaniem więźniów podważyły wizerunek USA jako państwa prawa, co w dobie złożonych kryzysów globalnych jest błędem niemal nieodwracalnym. Mocarstwo potrzebuje wszak nie tylko lotniskowców, ale przede wszystkim zaufania partnerów do zarządzania bezpieczeństwem energetycznym czy światowymi łańcuchami

dostaw. Wojna w Iraku zadziałała jak bolesne samookaleczenie autorytetu, którego nie da się po prostu zrekompensować w następnym roku budżetowym.

Jednym z najbardziej cierpkich wniosków płynących z tej debaty pozostaje uświadomienie sobie, że Irak był przede wszystkim gigantycznym odciągnięciem uwagi strategicznej. Koszt alternatywny, czyli wartość korzyści, z których państwo rezygnuje, przeznaczając środki na wojnę zamiast na inwestycje rozwojowe, objawił się tu z całą bezwzględnością. Skupienie ogromnych zasobów na jednym teatrze działań sparaliżowało zdolność Waszyngtonu do skutecznej reakcji wobec innych, rodzących się zagrożeń na mapie świata. Wojny po 11 września stworzyły długofalowe obciążenia, które skolonizowały amerykańską politykę zagraniczną na dwie dekady, wymuszając rezygnację z modernizacji krajowej infrastruktury. Dla poważnego analityka koszt wojny to nie tylko bezpośrednie wydatki militarne, ale przede wszystkim lista kluczowych działań, których państwo przez ten konflikt nie podjęło. Brakuje nie pieniędzy, lecz właściwej hierarchii celów strategicznych, co zmusza nas do spojrzenia na Irak jako na społeczeństwo, a nie tylko obszar operacyjny.

Joseph Stiglitz miał odwagę diagnozować katastrofę humanitarną i gospodarczą w czasie, gdy inni komentatorzy wciąż uciekali w bezpieczny język przejściowych trudności transformacyjnych. Irak stał się dowodem na to, że obalenie dyktatora to zaledwie wstęp, który bez wiarygodnej matrycy instytucjonalnej prowadzi prosto do społecznej implozji. Rozwiązanie armii oraz gwałtowna deregulacja lokalnego rynku stworzyły mieszankę, która okazała się ekonomicznie samobójcza i politycznie wybuchowa dla całego regionu. Wtórne zaburzenia gospodarcze, takie jak wzrost cen energii czy wypieranie inwestycji prywatnych, zadziałały jak ukryty podatek nałożony na całe społeczeństwo. Wysokie bezrobocie wśród młodych mężczyzn nie było jedynie suchym wskaźnikiem statystycznym, lecz stało się realnym zasobem mobilizacyjnym dla dżihadystycznej przemocy. Stiglitz słusznie zauważył, że wojna to nie tylko starcie militarne, ale przede wszystkim proces gwałtownego rozkładu bodźców społecznych i ekonomicznych.

Analiza Stiglitza i Bilmes wyjątkowo skutecznie rozbija trzy klasyczne złudzenia, które trzymają decydentów w pułapce eskalacji zaangażowania bez widocznych szans na sukces. Pierwszym jest złudzenie wiarygodności, każące wierzyć, że trwanie w błędzie buduje respekt bardziej niż odważne przyznanie się do porażki i wycofanie sił. Drugie to pułapka kosztów utopionych, gdzie śmierć żołnierzy staje się cynicznym argumentem za tym, by kolejni ginęli w imię nadania sensu poprzednim ofiarom. Asymetryczny kontrakt, czyli relacja, w której państwo sprawnie mobilizuje obywatela do walki, ale zawodzi w zapewnieniu mu opieki po powrocie, staje się tu bolesną codziennością. Trzecie złudzenie zakłada, że kontynuacja tej samej, wadliwej okupacji w magiczny sposób przyniesie w końcu rezultaty odwrotne do tych z wcześniejszych lat. Architekt wojny nie

traci wszak zdrowia, a doradca nie spędza lat na walce z biurokracją o świadczenia dla ciężko rannych weteranów.

Wojna w Iraku pozostaje przede wszystkim lekcją o granicach nowoczesnej pychy, która wierzy w możliwość mechanicznego montażu państw z importowanych, niepasujących części. To arogancja, która zakłada, że ekonomia i społeczeństwo pokornie zaakceptują każdą formę przemocy, jeśli tylko zostanie ona opatrzona etykietą bezpieczeństwa narodowego. Księgowość zaciemniająca, czyli systemowe zawężanie raportowanych wydatków wojennych, pozwoliła na ukrycie faktycznej skali zadłużenia przed przyszłymi pokoleniami, ale nie zdołała ukryć skutków społecznych. Dziś, gdy patrzymy na ośmiobilionowy rachunek za wojny po 11 września, trudno uznać wczesną krytykę autorów za choćby odrobinę przesadzoną czy nieuzasadnioną. Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej mroczna i kosztowna, niż przewidywały to najbardziej pesymistyczne intuicje badaczy sprzed kilkunastu lat. Kto liczy tylko pocisk, nie rozumie konfliktu, a kto liczy tylko budżet operacyjny, ten nigdy nie zrozumie istoty wojny.

> Wojna nie jest już tylko starciem armii, lecz ostatecznym testem dla uczciwości państwa wobec własnych obywateli. Jeśli ceną za globalną dominację ma być długotrwała erozja dobrobytu i zdrowia przyszłych pokoleń, musimy zapytać, czy gra jest warta świeczki. Być może prawdziwym zwycięstwem nie jest wygrana na polu bitwy, lecz odwaga, by odmówić płacenia za iluzję potęgi kosztem własnej przyszłości.

Inspiracje

[1] "The Tree Trillion Dollar War" Linda J. Bilmes

Linda J. Bilmes (ur. 1960) jest amerykańską ekspertką w dziedzinie polityki publicznej i akademiczką. Pełni funkcję starszego wykładowcy im. Daniela Patricka Moynihana w dziedzinie polityki publicznej i finansów publicznych w Harvard Kennedy School, gdzie jej badania koncentrują się na budżetowaniu, finansach publicznych, kosztach wojny i problemach weteranów. Wcześniej Bilmes pełniła funkcję zastępcy sekretarza i dyrektora finansowego Departamentu Handlu Stanów Zjednoczonych w administracji Clintona. Jest uznawana na arenie międzynarodowej za swoją pracę nad kosztami ekonomicznymi wojen w Iraku i Afganistanie, w tym za ukucie terminu „budżet widmo" na określenie ukrytego finansowania wojny. Jest członkinią Rady Stosunków Zagranicznych i członkinią Narodowej Akademii Administracji Publicznej, a także zasiada w Komitecie Ekspertów ONZ ds. Administracji Publicznej. Ukończyła studia na Uniwersytecie Harvarda i uzyskała doktorat na Uniwersytecie Oksfordzkim.

Linda J. Bilmes *(born 1960) is an American public policy expert and academic. She serves as the Daniel Patrick Moynihan Senior Lecturer in Public Policy and Public Finance at the Harvard Kennedy School, where her research focuses on budgeting, public finance, war costs, and veterans' issues. Bilmes previously served as Assistant Secretary and Chief Financial Officer of the U.S. Department of Commerce during the Clinton administration. She is internationally recognized for her work on the economic costs of the Iraq and Afghanistan wars, including coining the term "Ghost Budget" to describe hidden war financing. A member of the Council on Foreign Relations and a fellow of the National Academy of Public Administration, she also serves on the United Nations Committee of Experts on Public Administration. She holds degrees from Harvard University and a doctorate from the University of Oxford.*

Harvard University

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 1a90d779-1b2d-4631-85a2-c0fa80d57c2d